ROK X. MARZEC—1910 ROK. TOM III (C).

# DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

## PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.



CZĘSTOCHOWA
Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.
Filja w Warszawie: Ulica Marszałkowska Nr. 101.
1910.

# Treść tomu marcowego 1910 roku,

## ogólnego zbioru C.

---

---

## ILLUSTRACYE:





# ZMARTWYCHWSTAŁ PAN!




W radosnym dniu Zmartwychwstania Pańskiego, w dniu wielce uroczystym dla całego świata chrześcijańskiego, redakcya „Dzwonka Częstochowskiego” wszystkim Czcigodnym i Szanownym Czytelnikom swoim przesyła serdeczne życzenia. Od stóp Jasnej Góry, tego tronu ziemskiego Maryi, Królowej nieba i ziemi, radosne Alleluja! „Dzwonka Częstochowskiego” niechaj usłyszą wszyscy wierni czciciele Maryi, niechaj tak w chatach jak i w pałacach głos ten obudzi Wiarę, Nadzieję i Miłość, niechaj w całem chrześcijaństwie zapanuje wesele w Wielki Dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Alleluja! Alleluja!

# U grobu Chrystusa Pana.

---

## Jerozolima i jej przeszłość.

Miasto Jerozolima, dawna stolica Judei, a teraźniejszej Palestyny, gród uświęcony męką Chrystusa Pana, śmiercią Jego i Zmartwychwstaniem, kolebka religii chrześcijańskiej, jest miastem bardzo dawnem. Początkowym założycielem miasta był, według powszechnego mniemania, król Melchizedech, który nazwał je *Salem*, to jest *pokój*. Wkrótce potem Jozue zdobył niższą część miasta. Dopiero król Dawid zdobył Syon i założył na nim twierdzę i stolicę swoją. Następnie miasto przez Dawida, a szczególnie przez Salomona, tak zostało ozdobione pięknymi gmachami, iż się powszechnie do najpiękniejszych miast Wschodu liczyło. Ta świetność Jerozolimy ściągnęła mnóstwo napadów nieprzyjacielskich. Za panowania Roboama, syna Salomona, na 967 lat przed Chrystusem, Sesak, król Egiptu, zdobył je i ograbił. Hazael, król Syryi, oblegał Jeruzalem w roku 835 przed Chrystusem, ale Joas, król Judzki, skarbami ujął nieprzyjaciela i klęskę od miasta odwrócił. Za panowania Amaziasza, na lat 822 przed Narodzeniem Chrystusa Pana, król izraelski Joas, pokonawszy Judę, wstępnym bojem zdobył miasto, zabrał złoto i srebro ze świątyni i znaczną część murów zburzył. Za króla Achaza, na lat 737 przed Narodzeniem Chrystusa, Razin, król syryjski, i Faceasz, król izraelski, napróżno oblegali miasto. Sennacherib, król assyryjski, po dwakroć kusił się zdobyć Jeruzalem, lecz ciężko pobity ustąpić musiał. Za panowania Joachaza, na lat 606 przed Narodzeniem Chrystusa Pana, Nechao, król Egiptu, zdobywszy Jerozolimę, nałożył wielki haracz i królem postanowił Joakima. Nabuchodonozor, król Babylonu, w lat cztery później zburzył Jerozolimę, a lud zaprowadził w niewolę. Za panowania Cyrusa wrócili żydzi i dopiero w roku 450 przed Nar. Chr. poczęli miasto odnawiać. Aleksander Wielki na lat 328 przed Chrystusem, po zdobyciu Tyru zwiedził Jerozolimę. Po śmierci tego wielkiego wojownika Judea hołdowała, Ptolomeuszom. Ptolomeusz Lagi, na lat 316 przed Chrystusem, podejściem zdobył Jerozolimę, a Plotomeusz Filopater także opanował to miasto. W roku 194 przed Narodzeniem Jezusa Chrystusa Antyoch Wielki, chociaż wpadł z wojskiem do Jerozolimy,



NA GOLGOCIE.

lecz postąpił łaskawie i krzywdy nie uczynił. Zato Antyoch Epifanes, w lat 30 później zburzył miasto, złupił kościół i wielu mieszkańców wymordował, a wódz jego Appoloniusz postawił w kościele posąg Jowisza Olimpijskiego. Machabeusze na lat 160 oswobodzili kraj od nieprzyjaciół i bez wytchnienia walczyli o jego niepodległość; ale Arystobul i Hirkan, nędzni ich potomkowie, kłócąc się z sobą, udali się do Rzymian z prośbą o pomoc, i Pompejusz w roku 60 przed Chrystusem wszedł do Jerozolimy na czele rzymskich legionów. Później wdarła się do panowania rodzina Herodów, aż nareszcie Judea stała się prowincyą rzymską. Usiłowania żydów pozbycia się jarzma Rzymian spowodowały nareszcie zupełne zburzenie Jerozolimy przez wojska rzymskie pod wodzą Tytusa. Późniejsze bunty nieszczęśliwego narodu, skłoniły cesarza Adryana do wypędzenia żydów, którzy rozpierzchli się po świecie; a na miejscu zburzonej Jerozolimy tenże sam cesarz dźwignął miasto pogańskie, które nazwał *Elia kapitolina*. Następnie przechodził ten gród przez zdobycie Chozroesa, kalifa Omara i wodza krzyżowców, Godfryda de Bouillon, aż nareszcie z upadkiem tych ostatnich powrócił w ręce mahometan. Obecnie Jerozolima liczy zaledwie 30,000 mieszkańców, i ogromną masę dawnych zwalisk przedstawia. Tak się sprawdziły słowa Chrystusa, wyrzeczone do uczniów, gdy z wierzchołka góry Oliwnej podziwiali to miasto:

— „Nauczycielu, patrz jakie kamienie, jakie budowanie!“

A Chrystus odrzekł, iż nie zostanie kamień na kamieniu.

A następnie dodał:

— „I polegną paszczą miecza, i zapędzą je w niewolę między wszystkie narody, a Jeruzalem deptane będzie od pogan.

## Świątynia u grobu Chrystusa Pana.

Jerozolima od pierwszych czasów chrześcijaństwa jest miejscem pielgrzymki wszystkich wiernych, pragnących odwiedzić i pomodlić się u grobu Zbawiciela, ujrzeć miejsca uświęcone Jego męką, oblane Jego krwią świętą, krwią Odkupienia.

Kościół Zmartwychwstania, zawierający w swych murach grób Pański, wzniesiony początkowo przez ś-tą Helenę, znajduje się o paręset kroków od klasztoru Zbawiciela, do ks. Bernardynów należącego, przy którym jest także hospicyum, to jest rodzaj gościnnego domu dla pielgrzymów wszelkich wyznań. Wszystkie chrześcijańskie wyznania mają tu przy swoich klasztorach podobne hospicya. Dość trudno dać wyobrażenie o zewnętrznym kształcie kościoła, tyle przybudowano do

niego kaplic i kapliczek, iż musiano w jego obrębie zamknąć wiele miejsc, ślady męki Chrystusa noszących. Przedstawia się on, jako nieforemny, podłużny kwadrat, zakończony od zachodu wielkiem półkolem, a od wschodu mniejszem; do tego przytyka kaplica ś-tej Heleny i stanowi jakby oddzielny kościół. Najgłówniejszą i najpiękniejszą częścią świątyni jest ogromna rotunda w samym końcu strony zachodniej; wspiera się ona na osiemnastu kwadratowych pilastrach, które utrzymują dokoła galeryą; przez tę galeryę przechodzą też same pilastry i podtrzymują drugą galeryę, zamkniętą ścianami, a mającą tylko okna na kościół otwierane. Ta szeroka rotunda kończy się u góry wspaniałą kopułą, w której środku znajduje się wielki okrągły otwór, tylko siatką drucianą zaplecіony, aby ptactwo nie wlatywało; tem jednem tylko oknem oświetlony jest kościół, a więc jest dość ciemny, co bardzo jest stosowne dla świątyni Grobu i usposabia do smutnych rozmyślań. Średnica rotundy wynosi dwadzieścia ośm kroków, długość zaś kościoła ma kroków sto trzydzieści dwa, a szerokość czterdzieści i pięć.

## Grób święty.

W samym środku rotundy, pod owem oknem okrągłem, wznosi się mała *Kapliczka Przenajświętszego Grobu.* Ażeby postawić tę kapliczkę, musiano rozbijać pagórki i skały otaczające, tak, że zewnętrzna postać grobu Pańskiego przeistoczoną została. Nad nim wznosi się teraz niewielka kapliczka w półkole zakończona. Przy samem miejscu grobu, po obu stronach drzwi, są kaminne podniesienia, jak ławki, na których stoi dwanaście lichtarzy, należących do Katolików, Greków i Ormian, bo tu każde wyznanie ma swoje osobne świeczniki. Nad wchodowemi drzwiami umieszczony jest obraz Zmartwychwstania, bardzo piękny, a od wierzchu kaplicy zawieszone dość szerokie płótno, którego końce sięgają pilastrów rotundy i tworzą niby daszek, zasłaniający schody w czasie deszczu, który przez okrągły otwór wprost-by padał na kaplicę Grobu. Przed samym Grobem jest pierwsza kapliczka, nazywająca się *Anielską,* niby jak mała celka, mająca niespełna 5 łokci wzdłuż i wszerz, w niej z boku znajduje się mały stolik, na którym w marmurowej oprawie mieści się ułamek na półtory stopy kwadratowej tego kamienia, na którym Anioł siedział u grobu, a gdy z rana niewiasty przyszły namaścić Ciało Zbawiciela, o Zmartwychwstaniu im zwiastował; ztąd ta kaplica Anielską się nazywa. Wewnątrz jest ona pięknie marmurem z małemi kolumienkami wyłożona i w niej pali się zawsze piętnaście lamp, w równej części katolickich, greckich i ormiańskich.

Z kaplicy Anioła przez małe drzwiczki jest wchód do najświętszej groty, a raczej Grobu Chrystusa Pana; wstępując, dobrze się schylić należy, bo wysokość tego wchodu ledwie półtora łokcia wynosi; w czasie spoczynku Zbawiciela był on jak wiadomo zawalony wielkim kamieniem i obwarowany pieczęcią. Sama grota jest jeszcze mniejszą od poprzedzającej kapliczki, ma bowiem wzdłuż i wszerz 3 łokcie. Po prawej stronie ława na półtora łokcia wysoka, wyciosana w dużym kamieniu, idzie wzdłuż przez całą grotę i pokryta jest płytą białego marmuru: na niej to było złożone ciało Zbawiciela. Płyta marmurowa pęknięta jest na dwoje; powiadają, iż ją umyślnie rozbito, aby muzułmanie nie zabrali jej do ozdoby swego meczetu; dawniej były w tej płycie wyżłobione okienka, przez które można było całować samo łoże grobowe. Tu na tej marmurowej płycie prawie ciągle odprawia się nabożeństwo, z kolei przez kapłanów wszystkich wyznań chrześcijańskich: Katolików, Greków, Ormian i Koftów. Miejsce jest tak szczupłe, że w czasie mszy tylko celebrujący zostaje przy Najświętszym Grobie, asystujący mieszczą się w kaplicy Anielskiej, albo stoją przed nią. W sklepieniu znajduje się przytwierdzonych 43 lampy; 13 należących do Katolików, 13 do Greków, 13 do Ormian, a 4 do Koftów. Dawniej postać zewnętrzna kaplicy Grobu była bardzo ładna, ściany były wyłożone białym marmurem pomiędzy półkolumnami z czerwonego porfiru. Dziś zostały tylko gdzie niegdzie te porfirowe kolumienki, a ściany niezgrabnie są okryte niewygładzonym żółtym kamieniem. Z tyłu kaplicy jest przylepiona druga mała kapliczka Koftów, która do reszty psuje piękność tej budowli, lecz trudno mieć to za złe, bo ci biedni Egipcyanie, to jedyne miejsce mają tu w swem posiadaniu.

## Pamiątki święte u Grobu Chrystusa Pana.

W stronie zachodniej od Grobu Pańskiego, za filarami rotundy, znajduje się kaplica Syryjska *Ś-go Józefa i Nikodema ż Arymatei*, i tam ich groby, kute w skale, wchodzą w ścianę świątyni. W przeciwnej stronie, to jest od wschodu, są dwa pilastry połączone arkadą, które tworzą wchód wspaniały do kaplicy greckiej, która ze wszystkich jest nawiększą. Od tej kaplicy za trzecim filarem rotundy jest miejsce oznaczone okrągłym marmurem i otoczone kratą: tu, według podania, rozmawiać miały trzy Marye, gdy przyszły z wonnościami, aby namaścić Ciało Zbawiciela świata. Tu zawsze lampa się pali.

Ztamtąd w prostej linii leży kamień cztery łokcie długi a półtora szeroki, na którym Ciało Chrystusa Pana było namaszczone bal-

stantyna, św. Helena, z całą gorliwością starała się miejscom świętym przywrócić cześć należną i w tym celu dźwignęła wspaniały kościół Zmartwychwstania, który potem był w części zniszczony i złupiony przez króla Persów, Chozroesa, ale cesarz Herakliusz przywrócił go do dawnego stanu. Więcej jeszcze ucierpiała świątynia od Hakema, sułtana Egiptu, lecz przetrwała w całości aż do roku 1808, w którym okropny pożar zniszczył ten gmach starodawny. Odbudowywał się on powoli, ale nie w dawnej świetności. W miejsce porfirowych i granitowych olbrzymich kolumn w rotundzie, dano murowane pilastry; tylko gdzie nie gdzie pozostały one, jako też i piękne mozaiki, teraz zniszczone, które wszędzie kościół przyozdabiały. W samej rotundzie było czternaście mozaikowych obrazów; dwunastu Apostołów, Ś-ej Heleny i Ś-go Konstantyna. A jednak żaden kościół, choćby był ze złota ulany, nie może się porównać z tą Świątynią Świątyń. Tu oko na nic nie zwraca uwagi, bo te święte miejsca tak silnie przemawiają do duszy, że człowiek w ciągłem zdumieniu i zachwycie zostawać musi.

## Droga krzyżowa, krwią przenajświętszą i potem Chrystusa Pana zroszona.

Opisując Jerozolimę, nie można nie wspomnieć o *Drodze Bolesnej*, o drodze, po której szedł Chrystus, cały krwią zbroczony i upadający pod ciężarem krzyża. Wszyscy pielgrzymi, zwiedzający miasto święte, po obejrzeniu kościoła Zmartwychwstania, wyżej opisanego, udają się na *Drogę Boleści*, aby z Ewangelią w ręku rozpamiętywać o najświętszej Ofierze, postępując śladami Chrystusa, tak obficie krwią Jego zlanymi. Poczyna się od *Pałacu Piłata*. Dom Piłata przylega do meczetu Omara i przeszedłszy różne koleje, bardzo jest zniszczony, obecnie zajmują go żołnierskie koszary. Jeszcze w czasie podróży księcia Radziwiłła Sierotki, widoczne było podniesienie gankowe, wykładane marmurem, na którem, wedle słów ś-go Jana, Piłat zasiadł na stolicy sądowej, aby słuchać oskarżeń ludu przeciw Chrystusowi. Dziś niema ani śladu podniesienia tego. Tu było 28 stopni z białego marmuru, po których Zbawiciel wstępował. ale je od dawna przeniesiono do kościoła *Scala Sancta w Rzymie*.

Po drugiej stronie ulicy, o dwadzieścia kroków od domu Piłata, znajduje się miejsce *biczowania*. Był to dom żołnierzy Piłata; Ś-ta Helena zamieniła go w kościołek, nie zmieniając wnętrza. Budowa więc jest nizka, a na froncie wypisane jej wielkiemi literami: *Piłat wziął Jezusa i ubiczował.* Wnętrze jest nizkie, podługowate i sklepione; widzieć jesz-

cze można dawne kolumny i kapitale korynckiego porządku. W tem to miejscu Chrystus był srodze biczowany. Bicze owe, u Rzymian wówczas używane, były do dyscypliny z rzemyczków opatrzonych na końcu żelazem lub ołowiem. Horacyusz nazywa te bicze okropnymi (horribile flagellum). Druga część tego kościołka ma napis nad drzwiami: „I włożyli nań, uplotłszy koronę cierniową“. Wewnątrz równie podługowata izba, w której Zbawiciel był przedmiotem urągowiska prostego żołdactwa. W upokorzeniu i smutku zwiedza się te najświętsze miejsca, i serce staje się gotowe do znoszenia w pokorze biczów i korony czerniowej codziennego życia.

O sto czterdzieści kroków dalej, po tej samej stronie, przecina ją arkada, która dawniej łączyła dom Piłata z domem po drugiej stronie ulicy będącym. Na tej arkadzie znajduje się kryta galerya z jednem wielkiem oknęm od strony Kalwaryi, a dwoma od strony góry Oliwnej. Okna te służyły rządcom do ogłaszania wyroków lub słuchania próśb ludu. Przez okno od strony Kalwaryi Piłat przedstawił ludowi Chrystusa krwią zbroczonego i w cierniowej koronie, mówiąc: *Oto człowiek*. Chciał bowiem Go puścić, nie znajdując winy, lecz rozbestwiony lud domagał się Jego śmierci.

Na tejże ulicy, o dwieście kroków dalej, leży wielka złamana kolumna i oznacza miejsce *pierwszego upadku Zbawiciela* pod ciężarem krzyża, który Mu dźwigać kazano. Miejsce to nazywa się także *Omdleniem Najświętszej Panny,* która zaułkiem, okalającym dom Piłąta, zabiegła tu drogę ukochanemu Synowi, a widząc go zbroczonego krwią, zemdlała. W tem miejscu, na rogu zaułka, był kościołek, który teraz Muzułmanie na publiczną łaźnię zamienili.

O dwadzieścia siedm kroków od *Omdlenia* pokazują dom Ewengelicznego bogacza, w którym rządca Jerozolimy teraz mieszka, a naprzeciw *dom Łazarza.* W tem miejscu *Droga Bolesna* zwraca się na prawo w inną ulicę, i o osiem kroków widać w murze wprawiony kamień innego koloru, na oznaczenie miejsca, gdzie przymuszono Szymona Cyrenejczyka, aby niósł krzyż Chrystusa.

Tu już ciągle pod górę niezbyt przykrą się wstępuje. O kroków osiemnaście pokazują dom, który nazywają *Domem Weroniki,* a dalej o kroków sto leży pod ścianą kolumna, oznaczająca drugi upadek Zbawiciela.

O dziewięćdziesiąt pięć kroków dalej znajdują się zwaliska *bramy Sądowej;* tu za czasów Chrystusa kończyło się miasto, a Kalwarya była za murami. Tu czytano wyroki skazanym na śmierć i Zbawicielowi podobnież tu wyrok był ogłoszony.

Pod cieniem figowego drzewa znajduje się w tem miejscu kolumna do której, jak mówi podanie, miał być przybity wyrok śmierci.



*Anioł oznajmia pobożnym niewiastom, że grób pusty, gdyż Chrystus Pan zmartwychwstał.*

O czterdzieści kroków od bramy sądowej, tą samą ulicą idąc pod górę, jest wmurowany w ścianę dawny kapitel kolumny na oznaczenie miejsca, gdzie Chrystus do niewiast, które idąc z wielką rzeszą ludu, pła-

kały, rzekł te słowa: *„Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, ale same nad sobą płaczcie i nad synami waszymi“*.

O trzydzieści kroków ztamtąd obalona kolumna przy ścianie i na niej ogromny kamień oznacza miejsce, gdzie Chrystus Pan, potem i krwią oblany, otarł twarz swoją zasłoną Weroniki. Ś-ta Weronika stała razem z płaczącemi niewiastami, na widok Zbawiciela, który postępował uznojony w cierniowej koronie, zdjęta litością i żalem, zdjęła z głowy zasłonę, jaką i teraz kobiety na wschodzie noszą, i podała Chrystusowi. Pan, wywdzięczając dobry uczynek, przy obcieraniu oblicza zostawił swój wizerunek na zasłonie i oddał ją świętej niewieście. Zasłona ta znajduje się w Rzymie w Watykanie. Zdarzenie to w Ewangelii nie jest opisane, lecz przechowało się w podaniu, utwierdzonem powagą kilku Papieży.

Dalej już iść nie można po *drodze bolesnej*, gdyż tu przecięły ją domy teraźniejsze, przez muzułmanów stawiane, dopiero okrążywszy je, widać obok domu pewnego kofta zwaloną kolumnę, oznaczającą miejsce trzeciego upadku Chrystusa. O 15 kroków ztamtąd znajduje się kościół Zmartwychwstania, obejmujący w swych murach resztę stacyi bolesnej męki Zbawiciela. Ś-ta Helena, budując kościół, chciała, aby drzwi do niego były w tem miejscu, którem Chrystus wstępował na Kalwaryę. Te drzwi prowadzą prosto do *groty więzienia*, są ozdobione kolumnami z marmuru i piękną rzeźbą, lecz Turcy je zamurowali.

## Smutek serca.

Smutno jest patrzeć, w jakiem wszystkie te ślady odkupienia ludzkości zostają dziś opuszczeniu. Złomki i ruiny służą na oznaczenie najświętszych pamiątek Męki Pańskiej, kiedy niedość byłoby na to najbogatszych i najwspanialszych pomników.

## Klasztory i Świątynie Jerozolimskie.

W kierunku kościoła Zmartwychwstania natrafia się na ogromny gmach, czysto gotycki, który swymi ruinami innego zupełnie stylu, bardzo zadziwia na Wschodzie. Za bramą gotycką, jeszcze całą, znajduje się pusty dziedziniec, a na nim mury ledwie nie całe, tak, że po schodach na piętro wejść można. Jest to dawna siedziba dzielnych Rycerzy Ś-go Jana, Ztąd to zakonno-rycerskie bractwo, w ciągu całego wieku, wychodziło bronić Ziemi Świętej, ztąd roznosiło po całym Wschodzie sławę imienia chrze-

ścijańskiego. W prawem skrzydle pokazują loch gruzem zasypany, w którym, według podania, Ś-ty Piotr był więziony. W tym gmachu mieścił się także szpital obszerny, w którym pobożni rycerze mnóstwo chorych utrzymywali.

Przy bramie Betleemskiej wznosi się zamek gotycki, otoczony w równoległobok murami i sześciu czworobocznemi wieżami uzbrojony, wokoło głęboka fosa, wyłożona kamieniem, z jednym zwodzonym mostem. Lud zamek ten nazywa Dawidowym i utrzymuje, że on dźwignięty jest na miejscu, gdzie przedtem był zamek Dawida. Lecz wiadomo jest, że zamek Dawida był na górze Syon. Inni zowią go Pizańskim, i utrzymują, że rycerze z Pizy do krucyat należący go zbudowali, lub, co prawdopodobniejsze, odnowili, gdyż istniał on przy zdobyciu Jerozolimy przez Godfryda.

Przy obwodowym murze, od strony góry Syońskiej, cały kwadrat zajęty jest przez niezmiernie wielki klasztor Armeński. Piękny ich kościół, wzniesiony na miejscu ścięcia Ś-go Jakóba, brata Jana Ewangelisty. Jest on najbogatszym na całym Wschodzie i najpiękniejszy co do utrzymania i ozdób, lecz wcale nie pod względem architektury. Cały wyłożony wewnątrz kaflami lazurowemi i krzyżami, podłoga w desenie z różnokolorowych marmurów, cała okryta bogatymi perskimi i tureckimi dywanami. Po lewej stronie bocznej miejsce ścięcia oznaczone jest na posadzce kołem z białego marmuru; nad niem mensa Ołtarza, pod którą zawsze pali się sześć lamp srebrnych. Całą kapliczkę osłaniają kosztowne marmury. Drzwi jej wyłożone są srebrem, szyldkretem i konchą perłową. Wszędzie w tym kościele uderza przeładowanie bogactwa, lecz zbyt mało artystycznego smaku. Ołtarz wielki szczególnie jest bogaty; gdzie spojrzeć, wszędzie złoto i srebro, lampy, lichtarze i wszystkie naczynia kościelne są z kosztownego kruszcu, często nawet pięknej roboty. W zakrystyi ornaty i mitry biskupów wszystkie z lamy złotej lub srebrnej, wysadzane drogimi kamieniami, jakoteż i kapłańskie ornaty, na których można widzieć dawne, niezmiernie piękne i kosztowne materye indyjskie. Całe bogactwo i pobożność Ormian przdstawiają się w tym kościele, który u nich jest drugim Watykanem, ale Wschód, jakby oddychał, w każdej cząstce tej świątyni, mnóstwem skarbów oraz drobiazgowych cacek i świecideł. Przy kościele ciągnie się ogromny klasztor i stanowi jakby osobne miasto. Zdaje się, iż niema nigdzie większego, nawet w Europie klasztoru. Oprócz wygodnego pomieszczenia dla duchowieństwa, dla dwunastu biskupów i patryarchy, jest w nim jeszcze do tysiąca pokoi dla

pielgrzymów, których rocznie do pięciu tysięcy przybywa. Przy klasztorze rozciąga się wielki ogród ciernisty, w którym zwraca uwagę cedr ogromny. Wszystko opasane wysokimi murami a bramy mocno okute, tak, że po ich zamknięciu może klasztor stanowić miejsce obronne.

Do klasztoru przylega kościołek *ŚŚ-tych Aniołów*, także do Ormian należący i wzniesiony na miejscu domu Arcykapłana Annasza, do którego Chrystus pojmany w Ogrójcu najprzód był przyprowadzony. Ściany wewnątrz wyłożone są lazurową kaflą. Przy tej kaplicy rośnie drzewo oliwne, niezmiernie stare, mające w dziwny sposób pień na czworo rozczepiony, jakby rozdarty; wokoło jest ogrodzone. Podanie mówi, że do tego drzewa przywiązano Zbawiciela, kiedy Go żołnierze w nocy przywiedli do Annasza i czekali nim pojmanego wezwie przed siebie, i że wtedy drzewo pękło na cztery części.

W zachodnio-południowym rogu miasta, między bramą betleemską i damasceńską, stoi *klasztor Zbawiciela*, w posiadaniu OO. Bernardynów będący. Jeszcze król angielski, Ryszard Lwie Serce, wyrobił u Saladyna pozwolenie dla kilku księży łacińskich mieszkania w Jerozolimie, później król neapolitański Robert wyjednał także pozwolenie dla 60 księży Bernardynów, którym wystawił klasztor. Teraźniejsza budowa jego wygodna i wielka, ale bez żadnej architektury; jest to zbiór mieszkań dobudowanych w rozmaitych czasach. Klasztor posiada piękny ogród i kościół jego bogato jest przybrany darami dawnych monarchów Europy, tak, że zakrystya jego do najbogatszych się liczy. Cała mensa, z płaskorzeźbą Wieczerzy Pańskiej w wielkim ołtarzu, świeczniki i przybytek pięknej gotyckiej roboty, są ze szczerego srebra. Znajduje się tam mnóstwo kielichów złotych i srebrnych z napisem różnych królów. Ubiory biskupie dziwnie bogate i gustowne; mitry klejnotami wysadzane; kilka pastorałów srebrnych, a jeden złoty z drogimi kamieniami znajduje się w zakrystyi. Ornaty tak są bogate i piękne, że w Rzymie nic kosztowniejszego widzieć nie można. Dwa olbrzymie, we włoskim stylu lichtarze srebrne, zrobione ze sławnej lampy austryackiej, która zawierała w sobie 360 lamp mniejszych. Z nowszych darów jest bardzo piękna monstrancya srebrna, na trzy łokcie wysoka, złotem i drogimi kamieniami ozdobiona, dar królowej francuskiej, żony króla Ludwika Filipa. Te skarby księża najstaranniej chowają, aby nie wzbudzić chciwości muzułmanów, jednak wiele już z nich zatracono w czasie rozmaitych ucisków i rozruchów, a między innymi i kielich szczerozłoty, ofiarowany przez naszego księcia Radziwiłła Sierotkę.

*Klasztor Zbawiciela* uważa się za główny i rządzący wszystkiemi klasztorami OO. Bernardynów na całym Wschodzie. Przełożony jego nazywa się kustoszem, czyli Stróżem Ziemi Świętej, wybierany bywa co lat sześć i chociażby nie był biskupem, ma wszystkie przywileje biskupie; musi on być koniecznie Włochem i poddanym papieskim. Drugą osobą po nim jest wikaryusz Ziemi Świętej, który powinien być rodem Francuz; trzecią zaś godność klasztorną stanowią Prokurator Ziemi Świętej i ten musi być Hiszpanem.

Dawniej klasztor był bardzo bogaty, gdyż ogromne sumy przybywały z Hiszpanii, Francyi, Włoch i Niemiec; teraz ubogi, żyje z opatrzności Bożej, lecz należy tutejszym zakonnikom oddać sprawiedliwość, że poprzestają na małem i dzielą się ostatnim kawałkiem chleba z potrzebującymi. Przy klasztorze jest biblioteka, szkółka dla dzieci Arabów katolików, apteka i hospicyum, czyli dom gościnny dla pielgrzymów, do którego ochotnie i bez różnicy wyznań każdego przyjmują, nie żądając wynagrodzenia. Teraz liczba zakonników nie dochodzi 30, oprócz ks. Missyonarzy, którzy tu często przebywają.



***Chrystus po Zmartwychwstaniu ukazuje się Maryi Magdalenie.***

Wszystkie prawie klasztory Greków skupione są przy kościele Grobu Pańskiego. Główne ich siedlisko stanowi obszerny gmach z mnóstwem celek; wszędzie tam widać ubóstwo, nawet

w mieszkaniu metropolity. Biblioteka ich dość jest zamożna i wiele rękopisów posiada. Kościół patryarchatu pod wezwaniem Ś-ej Magdaleny, jest starożytny i piękny. Oprócz tego Grecy mają 13 klasztorów, lecz te po większej części są puste i przeznaczone na pomieszczenie licznych pielgrzymów na święta Wielkanocne przybywających.

## Teraźniejsza Jerozolima.

To wiekopomne miasto, widziane z gór je okalających, smutny i dziki przedstawia obraz. Wśród skał spalonych i obnażonych z roślinności, wznosi się płaszczyzna równie skalna, przerywana niewielkiemi wzgórzami i prawie dokoła otoczona głębokimi dołami w opoce: na tej płaszczyznie wznosi się Jeruzalem. Bardzo głęboka dolina Józefata od wschodu służy miastu za olbrzymią fosę, dolina Siloe od południa a dolina Refaim od zachodu, lecz od północy płaszczyzna jest łatwiej dostępną i powoli się wznosi. Ponad całem miastem panuje Góra Oliwna, która stanowi bok doliny Józefatowej. Położenie zatem dzisiejszej Jerozolimy zupełnie się stosuje do dawniejszej, z tą tylko różnicą, że dawniej góra Syon wchodziła całkiem w obręb miasta, a dziś większa jej część jest za obwodem. Mury obwodowe miasta ogromem, strukturą swoją zdumiewają, i mimowolnie przenoszą myśl do wieków średnich. Kształt tych murów jest bardzo nieforemny, bo oprócz jednej ściany w linii prostej nad Józefatową doliną, wszystkie inne pokrzywione są i połamane pod różnymi kątami. Wokoło wznoszą się szerokie i zębate blanki, a czworoboczne wieże, których jest 66, wybiegają wysoko nad tę masę kamienną.

Brama Betleemska zowie się jeszcze *Bramą Pielgrzymów,* bo aż do ostatnich czasów nie wolno było pielgrzymom inną bramą wchodzić do miasta. *Brama Damasceńska* jest najpiękniejszą, dwie wielkie wieże łączyły śmiały łuk sklepienia, na którym rzeźbione są różne arabeski i wyryty rok 1553. Nad doliną Józefata wznosi się *Brama złota,* którą Zbawiciel wjeżdżał w tryumfie do Jerozolimy. Obecnie całkiem jest zamurowana, z tej przyczyny, że według przepowiedni Machometańskiej, jakiś król Franków co ma zdobyć Jerozolimę, wejdzie tą bramą. Od strony wschodniej znajduje się *brama Ś-go Szczepana,* bo niedaleko od niej jest miejsce ukamienowania tego pierwszego męczennika. *Brama Heroda* zamurowana, tylko zostawiono małą furtkę, jako też i *brama Maryi,* której furtka wiedzie w zagrodę me-

czetu Omara. Nareszcie od południa jest *brama Dawida* albo *Syonu*, przez nią bowiem wychodzi się na sam szczyt Syoński.

„Obchodząc to święte miasto“ — mówi ks. Hołowiński w swej pielgrzymce do Ziemi Świętej — „i patrząc na te starodawne mury, przypominałem sobie, jak liczni wrogowie napadali niegdyś na Jeruzalem. Wyobrażałem sobie na tej płaszczyznie północnej Babylończyków z Nabuchodonozorem, z tłumem wielbłądów i wozów złocistych. Na niej arcy-kapłan przyjmował Alexandra Wielkiego, a rzymskie legiony Tytusa rozbijały swe namioty. Ztąd wpadł do miasta Omar z Alkoranem i mieczem w ręku. Tu Godfryd przed pobladłym księżycem wywiesił znamię Krzyża, gdy szyki rycerzy krzyżowych zaległy biblijny Syon; tu ogromne machiny wojenne krzyżowców tłukły i obalały te ściany, gdyż ztąd główny szturm przypuszczano. A teraz z tych sławnych imion i ogromnej potęgi sił zbrojnych, co się otarły o ten gród święty, nie znajdziesz nawet i garstki popiołu!“

Jedynie chwała Imienia Chrystusowego wzrasta i wzrastać będzie po wieki wieków.



## ZŁOTE MYŚLI.

### CO KOCHAĆ?

Co masz kochać? — pytasz, bracie,
Co dla serca jest drogiego?
Kochaj Boga, bo na świecie
Nic nie stało się bez Niego.
Kochaj ojca, matkę twoją,
Módl się za nich codzień zrana,
Bo przy tobie oni stoją,
Niby straż od Boga dana.
Do ojczyzny, po rodzinie,
Wzbudź najczystszy żar miłości:
Tuś się zrodził, w tej krainie
I tu złożysz swoje kości.

# WIELKANOC.

Wspomnienie z przeszłości.

---

Święto Zmartwychwstania Pańskiego, najuroczystsze i najradośniejsze w chrześcijaństwie, obchodzone jest przez wszystkie ludy słowiańskie z różnemi obrzędami, które świadczą, jak głęboko uczucia religijne przejmują ich serca. Już sama ta nazwa w mowie naszej: *Wielka noc* oznacza żywą wiarę w ten cud, który utwierdził boską naukę Chrystusa.

Wielka noc, w której życie pokonało śmierć, światło zwyciężyło ciemności, ludzkość weszła na nowe tory, z dogmatem nieśmiertelności! Prawdziwie — Wielka-noc.

Obchód tego święta tem silniej nas wzrusza, że cała przyroda łączy się z człowiekiem, i ona obchodzi też w tej porze święto Zmartwychwstania.

Wody, oswobodzone z lodów, zielone pąki drzew, pierwsze kwiecie wiosenne, śpiew radosny skowronków, są to głosy zwycięstwa życia nad śmiercią.

Jak długa, jak szeroka ziemia nasza, w chatach i dworach widać przygotowania uroczyste. Nie tylko dusze i sumienia oczyścić się winny w źródle pokuty, wszędzie bielą izby i świetlice, czyszczą i zdobią pańskie komnaty, a ubogi czy bogaty, przysposabia *Święcone,* które jest prawdziwą ucztą radości.

Jeżeli dziś jeszcze te tradycyjne obchody żywo poruszają serca nasze, łatwo wyobrazić sobie, czem były dla dawnych ludzi, prostych umysłem, a gorących duchem... Rzućmy okiem na chwilę taką przeszło dwa wieki temu.

*
* *

W Górze, w parafialnym kościele, skończyła się właśnie rezurekcya. Za chwilę ksiądz dziekan wyjdzie z sumą. Świątynia napełniona modlącym się ludem, malowniczy przedstawiała widok. Szare i granatowe sukmany, z sutemi pętlicami, pasy czerwone i zielone, siwe, baranie czapy mężczyzn, odbijały od różnobarwnego stroju kobiet.

Przed wielkim ołtarzem, w kolatorskiej ławce siedział pan chorąży Górski, dziedzic miejscowy. Wysoki, mocno szpakowaty, z podgoloną czupryną przedstawiał piękny typ starego żołnierza. Używał on wielkiego miru w okolicy, jako znakomity rolnik i uczynny sąsiad, ale jego nieugiętość zasad i surowość znaną była powszechnie.

Od trzech lat nikt nie widział uśmiechu na twarzy chorążego, bo też stała się rzecz niesłychana... Najstarszy syn, Wojciech, który miał gospodarować przy ojcu, samowolnie i potajemnie dom rodzicielski opuścił i zaciągnął się do wojska na kresach.

Od tej chwili chorąży nie wspomniał nigdy jego imienia i najsurowiej zakazał całej rodzinie stosunków z nieposłusznym synem.

Dzień kwietniowy, w którym właśnie przypadała Wielkanoc owego roku, był rocznicą owej ucieczki. Wszyscy o tem wiedzieli, i ze współczuciem spoglądali na bladą twarz chorążynej, która smutnie zamyślona, oczy miała zwrócone na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, jaśniejącej w wielkim ołtarzu.

Obok siedzące córki, Marychna i Kasia, zwyczajnie jak młode i płoche, w przerwie nabożeństwa posyłały wzrok ciekawy w stronę ławek, gdzie bieliły się suknie sąsiadek, bo podług zwyczaju, wszystkie panienki były biało ubrane, a spuszczone jasne, ciemne i czarne warkocze miały ozdobione zielonym barwinkiem. Między ławkami stało też grono młodzieży, wśród której odznaczał się piękną postacią i wykwintnym ubiorem, pan chorążyc Paweł, będący od dwóch lat w palestrze w Płocku, a teraz przybyły na święta do rodziców.

— Panie chorążycu, proszę do mszy służyć! — dał się słyszeć od drzwi zakrystyi głos dziadka kościelnego, Damiana.

Paweł chciał udać, że nie słyszy, ale pan chorąży, który, przesuwając ziarnka różańca, przywiezionego z Ziemi świętej, modlił się gorąco, nie zwracając głowy, rzucił tylko te dwa słowa:

— Idź waść!

I strojny młodzieniec znikł we drzwiach, a po chwili, odziany w białą komżę, niósł mszał za księdzem dziekanem. Zagrały organy, rozległo się wesołe Alleluja, wzniosły się dymy kadzideł pod strop kościoła, potem ksiądz dziekan przemówił serdecznie do parafian i wołał słowami listu Świętego Pawła:

„Wyczyścież stary kwas, i używajmy nie w kwasie złości i zawziętości, ale w przaśnikach szczerości i prawdy“.

I zachęcał do zgody, miłości, przebaczenia, za przykładem Pana naszego, zwycięscy śmierci i grzechu...

Serdeczne westchnienia wyrywały się z piersi zgromadzonego ludu. W kolatorskiej ławce surowa twarz chorążego złagodniała, łza roz-

czulenia, gość niebywały, błysnęła w oku... Chorążyna na ten widok, schyliła się szybko i przycisnęła usta do kościstej ręki męża... Obie córki zwróciły na ojca nieśmiałe spojrzenie, pełne czci i niemej prośby... Ale to była tylko chwila przelotna, znowu zimna powaga na twarz wróciła, a czoło jeszcze głębsza zmarszczyła brózda.

Nikt nie zauważył, że pod chórem, przytulony do kąta, stał młody człowiek, wojskową burką odziany, oczy jego nie odwracały się od kolatorskiej ławki, przy końcu zaś kazania wyszedł i pośpieszył na plebanię.

*

* *

Skończyło się nabożeństwo. Różnobarwna fala ludu wylała się na cmentarz... tu były dopiero ogólne powitania, przyjacielskie rozmowy... potem rozeszły się na wszystkie strony wesołe gromady kleru obeschniętemi drogami. Uśmiechało się nad niemi pogodą kwietniowe słońce, i śpiewały pod niebem skowronki, zwiastuny młodej wiosny.

Podług corocznego zwyczaju, najbliżsi sąsiedzi idą na święcone jajko do dworu. Zaraz po rezurekcyi klucznica Żurkowska z nadstarszą chorążanką Hanusią, wróciły do domu, żeby wyprawić resztę służby do kościoła i czekać na powrót państwa i gości.

Ogromny stół w jadalni suto i pięknie był zastawiony. Wspaniałe szynki różnych rodzajów prym trzymały. Były więc wieprzowe gotowane, i dzicze surowe wędzone, białe, pieczone w chlebowem cieście i bladoróżowe cielęce, a wszystkie otoczone wieńcami wybornych kiełbas, przybrane krasnemi pisankami i zielonemi borówkami. Pieczone indyki, prosięta z chrupiącą rumianą skórką, półgęski, głowizny faszerowane, dopełniały zastawy, przeplatane szeregami bab biało lukrowanych, placków, pakowańców i mazurków, różnorodnych, a smakowitych. W środku stołu wznosił się słup, zieloną rzeżuszką obsiany, dzieło ogrodnika Jakóba, a na wierzchu stał baranek z masła z misternie kręconą wełną, z oczami z ziarnek pieprzu i czerwoną chorągiewką — robota Hanusi.

Cała komnata ubrana świerkowemi gałęziami, wieńcami z widłaków i borówek, wesoło i wiosennie wyglądała.

Już wszyscy zebrali się, podziwiają Święcone i chwalą młode gosposie, które tak dzielnie wyręczają matkę, a ksiądz dziekan pierwszy dzieli się z gospodarzem święconem jajkiem. Starzy to druhowie i krewniacy, w młodości razem w wojsku służyli, potem rozeszli się na lat kilkanaście, i oto znowu u schyłku życia, Bóg ich połączył i już też pewnie spoczną obok siebie na wiejskim cmentarzu.

— Daj nam Boże zdrowie, szczęście, pociechę! — powtarzali

wszyscy, a ksiądz dodawał — i łaskę do pełnienia świętych przykazań swoich.

— Księże dziekanie — rzekła gospodyni — proszę siadać przy pani cześnikowej, przy nas, może barszczu gorącego przed zimnem jedzeniem? zaraz dzieweczki posłużą...

Ale ksiądz milczał... Był mocno wzruszony. Wreszcie wstał... ujął dłoń chorążego i drżącym głosem przemówił:

— Panie bracie... panie Józefie! druhu najmilszy! Ważę się na rzecz wielką... Nie odmów mi tego... daruj... przebacz Wojtusiowi... On winę swoją zrozumiał... powodziło mu się... dorobił się sławy... i fortuna mu sprzyjała... Ale chwili nie miał spokoju i tylko twojej łaski... twego przebaczenia pragnie. Pozwól mu stanąć przed sobą... gotów być choćby ostatnim twoim sługą... To jego słowa.

Na twarzy chorążego ciężka malowała się walka, kiedy jednak spojrzał na tonącą we łzach żonę, kiedy wszyscy obecni swoje prośby do słów dziekana dołączyli, zmiękł nareszcie i przemówił:

— Przebaczam... dla łez matki... Ale nieprędko zapomnę, potrzeba mi czynów, nie słów.

Tego tylko czekał poczciwy pleban. Wojciech, który przez niego przyprowadzony, stał w bocznym pokoju, wszedł i rzucił się do nóg rodzicom. Otoczyli go następnie towarzysze i rodzeństwo. Po kilku latach rozłąki, tem żywiej odczuł słodycz węzłów rodzinnych. Siostry urosły i wypiękniały, brat dochował się wąsów, a serca zostały wierne bez zmiany.

Wesołe i uroczyste były tego roku święta Wielkanocne w Górze, a kronika rodzinna mówi, że Wojciech Górski był od tego czasu najprzykładniejszym synem, choć ojciec długo okazywał się dla niego obojętnym.

Wrócił mu nakoniec swoją łaskę i chciał oddać część majątku. Ale syn, który właśnie ożenił się w sąsiedztwie, nie chciał na to przystać i pozostał przy ojcu, póki mu oczu nie zamknął na sen wieczny.

*

* *

Zmieniły się od tego czasu obyczaje. Dziś dobrzy rodzice są niejako starszymi przyjaciółmi swych dzieci. Czy zaś wszystkie dzieci wypełniają swoje względem rodziców obowiązki? A jednak jest zasada niewzruszona. Karność w rodzinach wyrabia hart w narodzie, tam zaś, gdzie te święte węzły słabną, jakąż będzie przyszłość narodu?..

*Anna Zielińska.*

# MOC LUDZKA I MOC BOŻA.

I.

Przed świętem Paschy, Jezus Nazareński został ukrzyżowany wraz z dwoma łotrami.

W chwili, kiedy cudotwórca z Galilei skonał na krzyżu, w świątyni Salomona zasłona rozdarła się od góry do dołu; ziemia się zatrzęsła i wśród jasnego dnia uczyniła się noc...

Piłat z Pontu, zarządzający Judeą w imieniu cezara, wydawszy wyrok śmierci na Galilejczyka, zamknął się w najdalszych komnatach swego pałacu i nie puszczał do siebie nikogo.

Przed zamkniętemi drzwiami siedziała skulona Klaudya Prokula, młoda żona prokuratora, i rozdarłszy szaty na sobie, rozpaczała:

— Zamordowałeś sprawiedliwego! Zamordowałeś sprawiedliwego!

Zrazu Piłat, przekonany o niewinności Galilejczyka, chciał Go ratować przed nienawiścią żydów. Wychodził do ludu, powtarzając jedne i te same słowa:

— Nie widzę w Nim żadnej winy.

Chcąc wzbudzić litość w żydach, kazał biczować oskarżonego, ukoronować Go cierniem i oblec w purpurę, a kiedy ów Męczennik zniósł w milczeniu ból i zniewagi, Piłat polecił wyprowadzić skrwawionego na forum i wskazał Go ludowi, mówiąc:

— Oto człowiek!

I to odwołanie się do lepszych uczuć, drzemiących w duszy ludzkiej, pozostało bez skutku, wówczas namiestnik rzymski, chcąc ocalić niewinnego, dał do wyboru żydom między umęczonym Nazareńczykiem a niecnym zbójcą.

Ale lud żydowski nie znał litości i przechyliwszy się na stronę złoczyńcy, żądał śmierci Chrystusa.

— Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj! — wrzeszczała zaślepiona tłuszcza.

Piłat musiał postąpić wbrew własnemu przeświadczeniu i kazał ukrzyżować proroka z Galilei.

Jezus konał.

Chwilę tę zaznaczyły cuda na ziemi i niebie. W Jerozolimie panował mrok, popłoch i przerażenie; Rzymianie korzyli się przed posągami

bogów, żydzi schronili się do świątyni Salomona, wierząc temu, co mówili kapłani, że Jehowa objawi swój gniew za to, że tak długo pozwolili Nazareńczykowi bluźnić przeciw Imieniu Boskiemu.

Uczniowie i wyznawcy proroka z Galilei pozamykali się w domach i bolejąc nad Jego śmiercią, uważali, że cała natura uczestniczy w ich strapieniu. Ktokolwiek jednak stał pod krzyżem i oglądał zgon „Króla żydowskiego", czy to żyd, czy Rzymianin, czy zwolennik nowej nauki, wierzył i mówił:

— Zaprawdę, ten był Synem Bożym!

Piłat z Pontu zamknął się w samotności, i zakrywszy głowę togą, słuchał żałosnego biadania żony:

— Zamordowałeś sprawiedliwego! Zamordowałeś sprawiedliwego!

Nigdy jeszcze Klaudya Prokula w ten sposób nie przemawiała do męża. Młodą, nadzwyczajnej piękności Rzymiankę wydano wbrew jej woli za namiestnika Judei. Pogardzała nim za to, że się zgodził na ten wymuszony związek. Bezdzietna, żyła w pałacu, urządzonym ze wschodnim przepychem, ale Piłat daremnie starał się pozyskać jej łaski, otrzymać życzliwe spojrzenie, wywołać uśmiech na usta. Prędzej mógłby tchnąć życie w zimny kamień.

Teraz stał się cud: martwy głaz ożył i przemówił.

Przybyli uczniowie Ukrzyżowanego i prosili, aby im pozwolono zabrać Jego ciało i złożyć je w skalistej pieczarze, tuż około miejsca kaźni.

Namiestnik wyszedł ze swojej komnaty blady, minął żonę, wsparty o drzwi cedrowe, wysadzane złotem, i udzielił uczniom Nazareńczyka żądanego zezwolenia. Było to wielkie ustępstwo, gdyż według prawa, skazaniec musiał wisieć na krzyżu przez trzy dni i trzy noce.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, oznajmiono namiestnikowi przybycie arcykapłana Kaifasza, człowieka, który chętnie dałby się przybić do krzyża, gdyby przez to był uznany przez swoich ziomków za Mesyasza i Syna Bożego. Piłat dumnie przyjął najwyższego dostojnika Judei i nawet skinieniem głowy nie odpowiedział na głęboki jego ukłon. Przebiegły żyd zaczął wysławiać mądrość imperatora, który przysłał do Jerozolimy rządcę tak sprawiedliwego; dzięki temu zdrajca, mianujący siebie królem, otrzymał zasłużoną karę. Cały naród izraelski składa dzięki Cezarowi, ubolewa, że z jego plemienia wyszedł burzyciel i zapewnia niezwyciężonego imperatora o swojej wierności i przywiązaniu.

Piłat siedział nieporuszony na marmurowem krześle, okrytym purpurą, i słuchał obojętnie miodowych słów arcykapłana.

— Czego chcesz jeszcze odemnie, żydzie? — zapytał zmęczonym głosem.

— Drobnostki jedynie: cesarskiej pieczęci i cesarskiej straży przed grobową pieczarą, w której bogaty Józef z Arymatei, z wiedzą i wolą prokonsula, złożył ciało Galilejczyka.

— Po co pieczęć? Po co straż?

— Gwoli ślepemu przesądowi motłochu — pokornie odrzekł kapłan. — Ten fałszywy cudotwórca mawiał: „Umrę, ale trzeciego dnia zmartwychwstanę“; jeżeli nie zapobiegnie się temu, lud gotów uwierzyć, że przyszedł nowy Bóg, większy i potężniejszy, niż wszystkie inne. Dostojny namiestnik przeszkodzi temu, jeżeli każe przyłożyć pieczęć cesarską na drzwiach jaskini i postawić straż przed grobem ukrzyżowanego Galilejczyka.

Piłat zadumał się głęboko; wzrok miał zagasły, powieki przymknięte. Kaifasz stał przed nim, czekając pokornie na odpowiedź i uśmiechał się zjadliwie, cynicznie z pobladłego oblicza i zawiędłych ust namiestnika cesarskiego. Nie żyd, Kaifasz sądził i skazał na śmierć żyda, Jezusa Nazareńskiego, lecz Rzymianin, Piłat z Pontu, więc na głowę Rzymian spadła odpowiedzialność. Pomimo, że mądry sędzia Piłat wobec całego ludu umył ręce, mówiąc: „Nie jestem winien krwi Tego sprawiedliwego“, a żydowski lud krzyknął: „Niech Jego krew spadnie na nas i na syny nasze“, jednak Piłat był odpowiedzialny za wyrok, gdyż on tylko miał władzę nad Judeą.

Kaifasz wciąż się uśmiechał.

Wtem prokonsul otworzył oczy.

Przed chwilą spojrzał w głąb własnej duszy i poznał swoją winę:

— Lud nie powinien wierzyć w zmartwychwstanie Tego człowieka. Każę przyłożyć pieczęcie i postawić straże.

Kaifasz pokornie dziękował mądremu sędziemu.

---

II.

Piłat osobiście udał się do pieczary, w której Józef z Arymatei przygotował grób dla siebie. Wielka rzesza ludu postępowała za lektyką namiestnika.

Droga wiła się pod górę i przechodziła obok miejsca kaźni, zwanego Golgotą.

Groźne chmury zasnuły niebo. Olbrzymie sępy krążyły wokoło złowrogiego wzgórza i rozpędziwszy kruki, unosiły się nad krzyżami, na których wisieli jeszcze dwaj łotrowie. Siwe drapieżniki, zwabione z pustyni wyziewem zgnilizny, dziobały skazańców, wyrywając z nich kawały ciała i siadały na ramionach krzyża, aby pożreć swój łup ohydny.

Pomiędzy dwoma ukrzyżowanymi sterczał trzeci krzyż, ale ten był pusty. Na jego szczycie błyszczała wielka, śnieżnej białości gołębica i nie ruszała się z miejsca, pomimo, że wokoło niej sępy łopotały skrzydłami.

Kiedy lud ujrzał białego ptaka, zaczął szemrać i wskazywać na niego; niektórzy chcieli wystraszyć gołębicę, ale prokonsul zabronił spędzać jej z krzyża. Zdawało mu się, że z jasnych skrzydeł biją promienie, podobne do księżycowych blasków i rozjaśniają niebo zamroczone.

Zdawało mu się, że z samotnego krzyża spływa łagodne światło na szarą, obnażoną opokę, na ścieżkę, wijącą się wśród uschłych przez wczorajszą noc ogrodów, i na skałę, w której czernił się otwór pieczary...

Tędy przeniesiono wczoraj ciało Galilejczyka.

Stado kruków, rozpędzonych przez sępy, ze złowieszczem krakaniem unosiło się nad lektyką prokonsula, tworząc nad nią żywą, czarną chmurę.

W ogrodach oczekiwał Kaifasz z licznym orszakiem kapłanów, mędrców i faryzeuszów. Przyjęli Piłata z taką uniżonością, jak gdyby to był sam imperator, boski Tyberyusz.

Namiestnik zatrzymał się i posłał kilku żołnierzy, aby odwalili wielki kamień, który zamykał wejście do pieczary. Chciał pokazać ludowi martwe zwłoki Galilejczyka, zanim na grób cesarskie przyłoży pieczęcie.

Setnik powrócił i oznajmił:

— Przy grobie klęczy jakaś niewiasta i nie chce ustąpić.

— To zapewne matka Galilejczyka. Powiedz jej, aby wstała i odeszła, ale nie rozkazuj, jeno proś.

— Niewiasta jest młoda i piękna. Rozdarła na sobie szaty i okryła się włosami, które płoną niby ogień.

Piłat wysiadł z lektyki i wązką ścieżką poszedł do pieczary. Kroki jego były powolne i ociężałe, jak gdyby nie mógł oderwać stóp od zeschniętej ziemi. Przy grobie klęczała niewiasta, której bujne włosy okrywały całą postać i wlokły się po ziemi. Wsparta o głaz, zamykający pieczarę, posępnym wzrokiem zmierzyła cesarskiego namiestnika.

Poznał ją tylko po włosach, błyszczących jak zorza wieczorna, gdyż słynna jej piękność, która niegdyś odbierała ludziom rozum, zagasła niby słońce o zachodzie.

Niewiasta miała imię Marya.

Żydówka z rodu, pochodziła z Magdali, nad jeziorem Tyberyadzkiem. Żaden Rzymianin nie mógł jej łaski pozyskać, nawet sam Piłat. Przysłane przez niego złoto i klejnoty wyrzuciła na gościniec.

Od chwili, kiedy ujrzała Jezusa Nazareńskiego, z jawno-grzesznicy stała się pokutnicą i padłszy Mu do nóg, oblewała je łzami. Mistrz jej przebaczył i odtąd wszędzie szła z Nim, towarzysząc Mu aż na Golgotę. Kiedy zdjęto z krzyża martwe Jego zwłoki, odprowadziła je do mogiły i nie chciała od niej odejść.

Piłat rozkazał jej usunąć się, ale ona nie była mu posłuszną i zasłoniła sobą otwór pieczary. Dopiero gdy usłyszała, że namiestnik chce się przekonać, czy uczniowie nie unieśli ciała Jezusowego, usunęła się w milczeniu na stronę.

Odwalono głaz i ukazała się pieczara w skale wykuta, obwieszona białemi pąkami lilij wodnych. Kamienną płytę grobowca niewiasty, opłakujące zmarłego Mistrza, zarzuciły narcyzami i hyacyntami.

Woń kwiatów napełniała mogiłę.

Marya z Magdali jęknęła głucho i padłszy na kolana, wyciągnęła ręce, jak gdyby chciała objąć powietrze, wychodzące z pieczary.

Piłat skinął na arcykapłana Kaifasza i trzech znaczniejszych Żydów, aby razem z nim weszli do wnętrza. Na jego rozkaz, dwóch żołnierzy usunęło płytę z grobowca...

Po chwili wszyscy wyszli i Kaifasz głośno oznajmił ludowi, że ciało Ukrzyżowanego spoczywa w grobie, owinięte w białe chusty. Słowa te potwierdzili trzej świadkowie.

Prokonsul rzymski nic nie mówił, tylko kazał zawalić kamieniem otwór pieczary, sam przyłożył pieczęć cesarską na purpurowej wstędze i skinieniem ręki zalecił setnikowi, aby został na straży wraz z żołnierzami. Tak ciało Chrystusa zamknięto w grobie.

Ale gdy zabłysło wielkanocne rano, grób opustoszał, a anioł oznajmił wszystkim, że Chrystus zmartwychwstał. Na nic się zdały straże i pieczęcie Piłatowe, bo niczem jest moc i potęga ludzka wobec Bożej.





## ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
# Pana naszego Jezusa Chrystusa.

---

(Ciąg dalszy).

Każdy Izraelita był ściśle obowiązany stawić się przed Jehową w Jeruzalem, nietylko na święta Wielkanocne i Zielonych Świątek, lecz i na uroczystość Kuczek (Namiotów) w drugiej połowie września i na początku października. Uroczystość trwała ośm dni. Izraelita każdy mieszkał w kuczkach, w szałasie z gałęzi, w namiocie, na pamiątkę, że ojcowie mieszkali na puszczy w namiotach,—na przypomnienie, jak Jehowa miłościwie opiekował się ludem swoim od wyjścia z Egiptu, aż do wnijścia Ziemi obiecanej.

I w Galilei znalazł Jezus uparte niedowiarstwo, dlatego „utwierdził twarz Swoją, aby szedł do Jeruzalem". Właśnie bracia (krewni) nie wierzyli weń: niedowiarstwu Galilejczyków dają wyraz w sposób wprost zuchwały, wzywają Jezusa, by odszedł stąd, poszedł do ziemi Żydowskiej i tam oznajmił się światu. W Jeruzalem zejdą się Izraelici ze wszystkich stron świata; niechże tam widzą wszyscy dzieła Jego. Jezus odpowiada im, że czas Jego jeszcze nie przyszedł — nastąpi to wtedy, gdy Ojciec ten czas naznaczy.

Bracia poszli na to święto, Jezus pozostał w Galilei; potem i On poszedł „ale jakoby potajemnie", bo nie w tym celu, w jakim chcieli bra-

cia, by się oznajmił światu (do tego posłuży święto Paschy). Jezus poszedł na święta Kuczek, ale dopiero gdy pierwszy dzień, najważniejszy minął, dając tem poznać, że nie chce razem z ludem brać udziału w radosnym obchodzie dnia pierwszego.

W mieście radość powszechna, ogromna. Cieszą się, że Jehowa, który im tyle miłosierdzia okazał, spełnił tyle obietnic, ziści i tę: przyśle Mesyasza. Wtem, gdy już było pół Święta, zjawia się Jezus i zapowiada bez ogródki odrzucenie, zagładę zamiast wybawienia, o którem marzą. Jezus poszedł do świątyni i uczył. Żydzi, to jest Faryzeusze i „pisma uczeni" gorszą się, że Jezus uczy, przywłaszcza sobie urząd nauczycielski, chociaż do ich szkół nie chodził, nie słuchał nigdy ich wykładów; urząd nauczania do nich należy, oni jedynie mają prawo do tego: „dziwowali się". Ten, który od wieków ma tron Swój na Syonie, gdy przyszedł jako Mesyasz, w widzialnej postaci, ma milczeć we własnym domu Swoim, w Swojej świątyni, dlatego, że się u nich nie uczył, że nie prosił ich o pozwolenie nauczania? „I dziwią się", zżymają, choć przecież nie po raz pierwszy słyszą Go nauczającego, — choć przecież już nieraz objawił się przed nimi i tak wspaniale wykazał pochodzenie Swoje, posłannictwo Swoje od Ojca.

Pytają się zuchwale zkąd bierze prawo nauczania, zkąd ma naukę, kiedy nie chodził do ich szkół? Jezus odpowiada uroczyście: „Nauka Moja nie jest Moja, ale Tego, który Mię posłał".

Tam, w Ojcu, jest źródło wiedzy Jego, ztamtąd bierze prawo nauczania, tylko, że oni zapomnieli już, co im był mówił na Święta Paschy, nie korzystali z godziny łaski.

Lecz cóż jest dowodem, że Jezus rzeczywiście posłan od Ojca, że nauka Jego jest Boską? Dowodem są te słowa: „Kto z samego siebie mówi, chwały własnej szuka; lecz kto szuka chwały tego, który go posłał, ten jest prawdziwy, a nie masz w nim niesprawiedliwości". Kto zrozumi doskonale, że chce tego tylko, co Bóg chce, ten potrafi rozróżnić prawdziwego nauczyciela od fałszywego, powołanego od niepowołanego. Niepowołanym jest ten, kto mówi z siebie samego, — siebie tylko szuka, jest samolubem; — ale kto uczy w imieniu Bożem, nie szuka własnego pożytku, lecz chwały Tego, który go posłał, ten zasługuje na wiarę, jest prawdziwy, jest rzeczywiście od Boga posłany, boć każdy inny szuka tylko swojej chwały. Tę zdolność rozróżniania, rozpoznawania prawdy daje wiara w Boga, daje szczere szukanie woli Bożej. I tego właśnie brak Żydom, więc też nie zdolni są poznać Mesyasza, posłanego od Boga, Nauczyciela swojego.

Jezus więc mierzy prosto w ich serca, mówiąc: „Iżali wam Mojżesz nie dał zakonu? a żaden z was nie czyni zakonu. Czemu Mnie szukacie zabić?“ Temi słowy czują się przedniejsi żydowie ugodzeni, — milczą wobec tego zarzutu, że się noszą z krwawymi zamiarami. Ta nienawiść do Chrystusa, która nie wzdryga się przed krzyczącem pogwałceniem zakonu, przed mężobójstwem, jest dowodem, że już dawno nie dbają o prawo Mojżeszowe. Ten brak sumienia jest dowodem, że wszelkie wysiłki Łaski Bożej, wszelkie odwoływania się do moralnego poczucia, do wiary obracają się w niwecz. Gdy „żydowie“, to jest pisma, uczeni i Faryzeusze milczą, naraz z pośród rzeszy wyrywa się straszne bluźnierstwo: „Djabelstwo masz: kto Cię szuka zabić?“ To odezwanie się bluźniercze pokazuje, że Jezus zrozumiał i przejrzał plany nieprzyjaciół. Jest to robota Faryzeuszów, którzy tak oddziaływują na masy ludu. Jezus nie zważa na te głosy. Znając dobrze tę nienawiść — wiedząc, zkąd biorą pochop do takiej wściekłości jeszcze raz tłómaczy im, jak są przewrotni w tłómaczeniu Zakonu. „Wyrzucacie mi, żem w Szabat uzdrowił sparaliżowanego. A wy czemuż w Szabat spełniacie obrządek obrzezania i nie uważacie tego za pogwałcenie święta? Powiadacie, że Zakonodawca na to pozwolił, to dlaczegóżby tenże Zakonodawca nie pozwolił na uzdrowienie człowieka chorego? Żaden Zakon Boży nie działa na szkodę ważnych potrzeb ludzkich: więc nie sądźcie według widzenia, ale sądźcie sądem sprawiedliwym“. Czyn uzdrowienia jest sam w sobie rzeczą chwalebną, nie może naruszać spokoju Szabatowego, to musi przyznać każde prawe serce, a już kapłani i pisma uczeni najmniej powinniby tego nie rozumieć.

Zajście to w kościele poruszyło całe miasto. Kiedy przeciwnicy Jezusa, zawstydzeni, muszą na taką mowę milczeć, odchodzą zagniewani, ci, co znali plany i zamiary swych dowódców, pytają się zdziwieni: „Iżali nie ten jest, którego szukają zabić? Lecz oto jawnie mówi, a nic Mu nie mówią. żali prawdziwie poznali książęta, iż Ten jest Chrystus?“ Jerozolimczycy nie umieją wytłómaczyć sobie tego postępowania swych „książąt“. Gdyby Go ci uznali za Chrystusa, to i oniby Go uznali, tak ślepo wierzą w powagę swych starszych. „Ależ to być nie może, — tak mówią dalej — „Tego znamy zkąd jest. Lecz gdy przyjdzie Chrystus, nikt nie wie, skądby był“.

Jakież było ich zdziwienie, gdy Jezus znowuż w kościele odpowiada na te ich rozmowy, odpowiada w głos, by Go wszyscy dobrze słyszeli: „Znacie Mię i zkądem jest, wiecie. Mówicie, że Mię znacie, wskazujecie palcem rodziców Moich, na Nazaret: a przecież nie przyszedłem Sam od Siebie, ale jest Prawdziwy, który Mię posłał, którego wy nie znacie. Ja Go znam, bom od Niego jest, a On Mię posłał“.

Niedowiarstwo czuje się ponownie zgorszonem, ugodzonem śmiertelnie: „Chcieli Go tedy pojmać, a żaden się Nań ręką nie targnął, bo jeszcze nie przyszła była godzina Jego“.

Z drugiej strony, mimo wszystkich pogróżek, mimo wszystkiego nacisku pod wrażeniem Mesyańskiego zjawiska, mowy Mesyańskiej, budzi się zdrowy zmysł, głębsze naturalne poczucie: „Wielu z rzeszy uwierzyło Weń i mówili: „Mesyasz, kiedy przyjdzie, azaż więcej cudów uczyni, niż które czyni Ten?“

Tymczasem Faryzeusze gotują zamach. Do tego kroku popycha ich „szemranie rzeszy o Nim“. Lud poczyna się wahać, a może to rzeczywiście Mesyasz? Inni wierzą już jawnie, — to drażni ich, złości, muszą temu zapobiedz. — Występują więc ze skargą przed najwyższymi kapłanami, przypominają im obowiązek czuwania nad dobrem ludu i kościoła, raz już trzeba skończyć z „uwodzicielem“. W tym celu nie wstydzą się już łączyć ze znienawidzonymi Saduceuszami tak, jak w Galilei naradzali się z Herodyanami.

Najwyżsi kapłani równie nienawidzą Chrystusa, boją się, by nie stracili miru u ludu. Wyprawiają tedy „sługi“, pachołków swoich, by pojmali Jezusa. A jakaż Jego wina? że na święta Kuczek przyszedł do kościoła, że naucza „w domu Ojca Swojego“, objawia się ludowi jako Mesyasz.

Na te zamachy Jezus odpowiada spokojnie: „Jeszcze mały czas jestem z Wami, a idę do Tego, który Mię posłał. Szukać Mię będziecie, a nie znajdziecie, a gdziem Ja jest, wy przyjść nie możecie“.

Jezus opowiada o swem odejściu do Ojca; nastąpi ono w niedługim czasie, ale oni wszyscy będą wyrzuceni z królestwa niebieskiego. Po dokonania krwawego dzieła, czas Łaski dla nich minie, i potem już nie znajdą drogi do wiary, drogi do swego Mesyasza.

(D. c. n.)



## ZŁOTE MYŚLI.

---

Rano niech ręka twoja ziarno sieje,
Ale i w wieczór nie bądź zleniwiony,
Bo nie wiesz, który siew lepiej dojrzeje:
Czy ten, co rano, czy, w wieczór rzucony.

# KRÓL JAGIEŁŁO I MISTRZ ULRYK.

**Obrazy historyczne z czasów pogromu grunwaldzkiego.**

---

(Dalszy ciąg).

Rycerze wątpić już nie mogli, że to, co mówi pan z Lipna, jest prawdą. Ale jeśli tak, to czyż istotnie Krzyżacy nie łudzą ich fałszywemi obietnicami?..

Wątpliwość ta coraz silniej zaczęła niepokoić szlachetne serce hrabiego de Castillo.

Gdy sobie atoli przypomniał, co doń pisał wielki mistrz Ulryk, w jakiem był poważaniu u książąt zachodnich, jak nieraz ogromne sumy pieniężne im wysyłał, jak nawet samemu cesarzowi niemieckiemu niedawno przysłał wory, pełne złota, milczał i nie wiedział co panu z Lipna odpowiedzieć.

Ten tymczasem mówił:

— Nie wierzcie, zacni rycerze, ażeby zakon zawsze był zwycięski w wojnach swoich. Pod Płowcami król nasz Władysław Łokietek poraził go na głowę. Pogańska do niedawna Litwa nieraz zwycięski Niemcom stawiała opór. Pod pozorem nawracania na wiarę Chrystusową pogan, ściągali Krzyżacy z całego świata rycerstwo; przy jego pomocy zapuszczali się w nieprzebyte puszcze litewskie i nieraz tam grób dla większej części tych świetnych, a łatwowiernych hufców gości zagranicznych kopali.

Tak też było i przed laty kilkunastu, gdy mistrz krzyżacki Konrad Wallenrod zapuścił się z wyborowem rycerstwem w głąb Litwy. Wtedy to dzielni książęta litewscy, z Jagiełłą i Witoldem na czele, zgotowali pogrom hufcom krzyżackim, zagnanym nieopatrznie wśród zimy w głąb puszcz i bagnisk nieprzebytych. Polegli wtedy prawie wszyscy rycerze zagraniczni, posiłkujący Krzyżaków, zginęło mnóstwo rycerzy zakonnych, wielki mistrz Konrad Wallenrod sam zaledwie uszedł zagłady i wrócił do Malborga na czele niedobitków. Stada wron i kruków ciągnęły za nim, rzucając się na ginących z głodu i zimna rycerzy.

— Na Boga, zacny rycerzu! — przerwał hrabia de Castillo — prawdęż mówicie? Nigdy o takiej porażce zakonu krzyżackiego nie słyszałem...

— Jakom rycerz i chrześcijanin, prawdę mówię — odparł pan z Lipna. — A wiedzcie, że i druga wyprawa mistrza Konrada nie powio-

dła się... Ale że Zakon nigdy łatwo nie zwykł ustępować, przedsięwzięto trzecią wyprawę, która również zakończyła się klęską. Wtedy starszyzna krzyżacka zaczęła szemrać, wielkiego mistrza o zdradę podejrzewać. Wkrótce też Wallenrod zginął nienaturalną śmiercią.

Umilkł na chwilę pan z Lipna, potem dodał:

— A był Wallenrod rycerzem głośnym na cały świat... Z prostego, nieznanego nikomu rycerza, dzięki tylko waleczności i dzielności osiągnął najwyższy urząd w Zakonie, za panbrat był z książętami i królami... Kto wie więc, zacni rycerze, co Bóg zachował w wyrokach swoich dla tak potężnego i butnego mistrza, jakim jest obecnie panujący nad Zakonem Ulryk von Jungingen?.. Rycerz on głośnej sławy, zapalczywy, chciwy boju, ale i Wallenrod gorszym nie był... Wiedzcie, zacni rycerze, że nie zawsze Krzyżacy zwyciężali, nie wielu też pewnie znacie takich, którzy z ich rąk księstwa otrzymali...

Na te słowa posmutniał hrabia de Castillo, inni rycerze spojrzeli ku ziemi, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Prędzejby nasz pan miłościwy mógł dotrzymać słowa, gdyby komu księstwo przyrzekł, bo połączona Litwa i Polska od morza Baltyckiego aż do stepów Tatarskich, do morza Czarnego i państwa Bizantyjskiego się ciągnie. Niemasz drugiego państwa tak obszernego...

— A jednak — przerwał hrabia de Castillo — Zakon krzyżacki, jak sami rzekliście, panie, utuczył się i szeroko rozsiadł na ziemiach polskich i litewskich, rośnie w potęgę i znaczenie... I czemże się to dzieje, że pomimo chwilowych niepowodzeń i klęsk, dziś jest on potężniejszym, niż był kiedykolwiek, że stanął u szczytu potęgi, że do nowej wojny zbiera z całego Zachodu rycerstwo chrześcijańskie?..

Westchnął pan z Lipna.

— Rany dotknęliście, zacny hrabio!.. rany bolesnej, a raną tą na ciele Litwy i Polski jest niezgoda!.. Straszliwa to rana!.. Wskutek niezgody książąt polskich i litewskich, niezgody podsycanej przez Krzyżaków, urośli ci ostatni w potęgę... Nie tak to jeszcze dawno, jak Witold, książę litewski, dawszy posłuch zręcznym podszeptom krzyżackim, wiązał się z nimi przymierzem przeciw bratu swemu stryjecznemu, Jagielle, dzisiejszemu królowi. Opamiętał się Witold, że na obietnicach krzyżackich nic nie zyska, prócz hańby, prócz nazwy zdrajcy swego ludu. Nim się jednak książę opamiętał, nim się poznał na czczych i przewrotnych, z przedziwną zręcznością prowadzonych intrygach niemieckich, nieraz gościł w Malborgu, nieraz ucztował z Krzyżakami... Ale nadeszła chwila, że przejrzał, że przekonał się, co warta przyjaźń krzyżacka... Żmije jadowite żywił dlań Zakon wśród róż, których kwieciem go nęcił i łudził...

Dziś on już silnie przy boku Jagiełły stanął, dziś miecze króla Jagiełły i księcia Witolda zgodnie w stronę Niemców się zwracają...

Po krótkiej przerwie pan z Lipna, westchnąwszy ciężko, mówił dalej:



*Powrót Konrada Wallenroda, zwyciężonego przez Litwinów.*

— Książę Witold, który podczas chrztu świętego otrzymał imię Aleksandra, dawniej ulegał często lisim obietnicom Zakonu. Łudzono go, że byle się związał z Niemcami, byle oddał im Żmudź na własność, a pomogą mu do panowania nad całą Litwą niepodzielnie. Niech się nie waha, niech na Jagiełłę nie zważa. Trucizna i skrytobójczy miecz są na jego rozkazy. Byle tylko oddał klucze, otworzył bramy grodów litewskich przed rycerstwem niemieckiem. Młody Witold, a jak każdy młody nie-

opatrzny i lekkomyślny, słuchał tych szatańskich rad Krzyżaków, odwiedzał ich nawet w Malborgu, ale w zupełności im nie ufał. Zbyt wiele zbrodni, zbyt wiele krzywd ojczyzna jego od Niemców doświadczyła. Pamięć na te zbrodnie i krzywdy powstrzymała go wreszcie od występnej, zdradliwej przyjaźni z Zakonem. Bóg wkrótce sprawił, iż przejrzał ich podstępne knowanie, ich zamiary drapieżne, zrozumiał, że na tej przyjaźni przedewszystkiem on najwięcejby stracił, że Krzyżacy, stawszy się przy jego pomocy panami Litwy, przedewszystkiem postaraliby się, aby go osłabić, jego władzę zburzyć. Toć Konrad Mazowiecki, gdy sprowadził w swoim czasie ten krzyżowy Zakon niemiecki, ani przypuszczał, jaką niewdzięcznością odpłaci mu się za jego dobrodziejstwa, jak zuchwale uzurpuje sobie prawa zwierzchnicze do ziemi, która mu tylko w czasowe posiadanie oddaną została. Zamiast pomocników książęta mazowieccy, a wraz z nimi cała Polska, wrogów najzawziętszych w Krzyżakach znaleźli. Niemało krwi polskiej wylali ci Niemcy, niemało pożogi wnieśli w ziemie polskie. Hańba im za to wieczna!..

Rycerze słuchali już teraz z zajęciem pana z Lipna.

— Czy mistrz Ulryk zdaje sobie sprawę z tego, co obecnie przedsięwziął?... Czy nie przesądza swojej potęgi?... — mówił dalej. — Zdaje się, że umysł jego zaciemnia wrodzona mu zapalczywość i wyjątkowa nienawiść do wszystkiego co polskie, a z drugiej zaś strony niepomierna chciwość i pragnienie zdobycia nowych ziem, ciągnących się od brzegów Bałtyku aż do Dniepru i morza Czarnego, chęć wyniesienia się ponad wszystkich królów chrześcijańskich. Mistrz Ulryk wraz ze swymi doradcami poruszył cały świat przeciw Polsce i Litwie, a uczynił to zręcznie, z szatańską przewrotnością. Zapomniał jeno w zapalczywości swojej i pysze, że ponad ziemskie potęgi wyższe są Boskie. Zapomniał, że duchy wielkich bohaterów Litwy i Polski żyją w sercach ludu polskiego, żyją jako nieśmiertelne potęgi, jako wspomnienie dzieł wielkich, dokonanych w krwawym trudzie. Żyje pamięć Gedymina, bohatera nad bohatery, który pierwszy z wielkim naszym królem Władysławem Łokietkiem zawarł sojusz przeciw Niemcom, żyje pamięć Olgierda i Kiejstuta, których sławę lud litewski wiecznie czcić i wielbić będzie... Te duchy stoją na straży niepodległości naszej i dobra ojczystego. Oczyma duszy widzą ludy nasze tych bohaterów, słyszą ich głosy z poza grobu... Wierzajcie, Jagiełło i Witold nie ukorzą się przed wielkim mistrzem Ulrykiem, nie oddadzą mu swych dzierżaw, nad któremi Bóg uczynił ich panami... Bój, który rozpoczęła duma i chciwość niemiecka, będzie dla Polski i Litwy walką o całość i życie ojczyzny... I da Bóg sprawiedliwy, że spotkają Niemców drugie Płowce...

Hrabia de Castillo zapytał ciekawie:

— Płowce, mówicie panie, co za Płowce?...

— Miejscowość, nie tak ztąd daleka, gdzie już raz Zakon krzyżacki doznał gniewu Pańskiego, gdzie poległo na polu bitwy tylu niemieckich rycerzy, ilu ich Zakon naówczas liczył.

— Dawnoż to było?... Nic o tej bitwie nie słyszałem?...

— Bo przewrotni Krzyżacy wieści na Zachód o niej nie przepuszczali. Wiekopomna ta bitwa odbyła się w roku 1331. Była to ostatnia bitwa przez bohaterskiego króla naszego Władysława Łokietka stoczona z Niemcami. Zwycięstwo to pozwoliło synowi Łokietka, królowi Kazimierzowi, podnieść królestwo polskie do rzędu najpierwszych w chrześcijaństwie.

Dalsze słowa pana z Lipna przerwał nagle krzyk głośny kobiecy, który powiew wiatru przyniósł od strony boru.

Rycerze zwrócili w tę stronę oczy i ujrzeli tam zbrojną zgraję żołdactwa, goniącego ową nieszczęsną, pozbawioną zmysłów kobietę.

Hrabia de Castillo i Hiszpan de Morellez schwycili za kopie, ubodli konie ostrogami i puścili się na pomoc napadniętej, nieszczęśliwej istocie, która tymczasem schroniła się wśród zarośli leśnych.

W tejże chwili wypadło z lasu kilkunastu konnych rycerzy z czarnymi krzyżami na białych płaszczach i z krzykiem rzuciło się przeciw hrabiemu de Castillo i Hiszpanowi de Morellez, co widząc pan z Lipna i dwaj Włosi, hrabiowie de Sonino, wsiedli na konie, pochylili kopie i poskoczyli co tchu na pomoc swoim.

Do spotkania orężnego atoli nie przyszło, gdyż owi zbrojni, goniący bezbronną zakonnicę, ujrzawszy przed sobą kilku znakomitych rycerzy, cofnęli się spiesznie do lasu.

Wstrzymał swego konia hrabia de Castillo, a za nim i jego towarzysze.

— Myślałem, że rycerzy szlachetnych mamy przed sobą — rzekł z niezadowoleniem hrabia de Castillo — tymczasem omyliłem się... Widać, że to byli zwyczajni łotrzykowie, którzy napadają na bezbronnych, a cofają się przed orężnymi...

— To byli rycerze krzyżaccy — rzekł żywo pan z Lipna — mieliście ich, hrabio, przed sobą...

— Na Boga! — zawołał oburzony hrabia — nigdybym się tego nie spodziewał.

— A może to są zwyczajni zbójcy, którzy zrabowawszy gdzieś płaszcze i zbroje rycerzy krzyżackich, przybrali się w nie? — rzekł Hiszpan de Morellez.

— Wątpię, aby tak było — odparł pan z Lipna. — Znam ja dobrze Krzyżaków. Ujrzeli na tarczach i hełmach oznaki i godła wasze,

poznali w was rycerzy, przybywających z Zachodu, więc śpiesznie cofnęli się, aby nie zasłużyć sobie na nazwę zwyczajnych łotrzyków...

Gdy tak rozmawiali, nagle dały się słyszeć z głębi boru głośne okrzyki, muzyka, naszczekiwanie psów, urywane granie rogów myśliwskich i nawoływania naganiaczy zwierzyny. Widocznie jakiś orszak myśliwski przez bór podążał.

Jednocześnie na skraju lasu ukazało się kilku rycerzy w białych płaszczach, z czarnymi na nich krzyżami.

Przez chwilę przyglądali się oni pilnie cudzoziemskim rycerzom, poczem przyjaźnie wyciągnąwszy przed siebie ręce, zawołali:

— Witajcie, drodzy goście!.. Witajcie w imieniu krzyża Chrystusowego!.. Macie przed sobą sługi wierne Maryi, Matki Chrystusowej, rycerzy z orszaku wielkiego mistrza Ulryka.

— Wielkiego mistrza? — powtórzył zdziwiony hrabia de Castillo.

— Jednego z największych mistrzów, jakich Zakon posiadał — dodał skwapliwie Krzyżak. — Niezgłębiony w planach swoich nasz władca niespodziewanie w pięknych borach tutejszych rozbił namioty swego obozu...

— Los więc łaskawy sprawił, że tu powitać będziemy mogli tak wielkiego w chrześcijańskie pana — rzekł jeden z Włochów, hrabia de Sonino.

— Wielce szczęśliwy będzie mistrz Ulryk, gdy was powita, szlachetni rycerze! Pozwólcie, że wam się przedstawię... Jestem Kuno von Waldenfeld, rycerz przyboczny wielkiego mistrza. A oto towarzysze moi!

Co rzekłszy, przedstawił z kolei kilku innych Krzyżaków, o minach sępich i napuszonych jak pawie.

Hrabia de Castillo zbliżył się do pana z Lipna i rzekł szeptem:

— Szlachetny panie i rycerzu, pozwólcie, że użyję podstępu, aby ocalić was od niewoli, a może i czego gorszego...

I nim pan z Lipna zdążył zapytać, o co chodzi, już hrabia de Castillo mówił, wskazując nań, krzyżakom:

— Oto rycerz de Roma, nieodstępny towarzysz mój w bojach, znany z męstwa i chwalebnych dzieł wojennych...

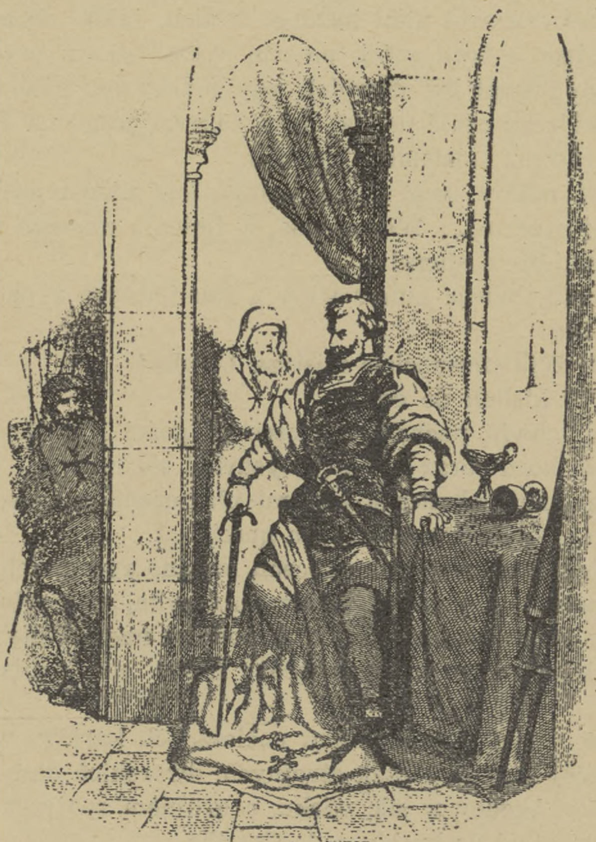
I dalej z kolei przedstawił innych rycerzy.

Pan z Lipna znalazł się w przykrem położeniu. Chciał zaprzeczyć słowom hrabiego de Castillo, że nie jest żadnym rycerzem de Roma, ani Włochem, ale wstrzymała go od tego myśl, że naraziłby przez to hrabiego wobec Krzyżaków, a przytem sam się zdradził, kim jest i wydał w nieuchronną niewolę niemiecką.

W chwili zerwania pokojowych stosunków Zakonu z Polską i Litwą, w przededniu wybuchu wielkiej wojny, niebezpiecznem było rycerzo-

wi polskiemu, zwłaszcza z przybocznego orszaku króla Jagiełły, wpaść w ręce takich wrogów, jakimi byli Krzyżacy.

Wahał się więc pan z Lipna, co uczynić, a tymczasem nowy poczet rycerzy niemieckich wysunął się z głębi boru i szerokiem kołem otoczył zagranicznych gości.



***Konrad Wallenrod, słysząc kroki zbliżających się spiskowców, idących go zamordować, pije truciznę.***

Za tym pocztem nadjechał znów nowy, z komturem toruńskim na czele.

Komtur, człowiek młody, ale niepomiernej tuszy, siedział na ogromnym koniu. Był bez hełmu na głowie i bez zbroi, jedynie w szerokim płaszczu białym, zarzuconym na jedwabnym, złotem i srebrem szytym kaftanie.

Na zupełnie łysą jego głowę promienie wiosennego słońca padały bezkarnie, więc komtur raz poraz zarzucał połę płaszcza na odsłoniętą łysinę. Przy jego koniu postępowało kilkunastu pachołków niemieckich, trzymając w rękach złote czasze, puhary i naczynia z winem, miodem i piwem. Inni nieśli kosze z pieczywem, mięsiwem i owocami.

Komtur toruński małe swe, pozbawione rzęs i brwi oczy, zwrócił na rycerzy, prześwidrował nimi każdego z nich, jakby chciał zajrzeć do głębi serca każdego z tych gości, poczem skłonił głowę przed hrabią de Castillo, którego poznał był dawniej, gdy przebywali razem na dworze hiszpańskim i którego cenić musiał, jako zażywającego na Zachodzie powagi i sławy prawego i dzielnego rycerza.

— Wielki mistrz nasz Ulryk ucieszy się niepomiernie, gdy was ujrzy szlachetni rycerze!.. Witam was, w imieniu naszego przesławnego Zakonu, którego jestem sługą!

A po chwili, biorąc puhar wina z rąk jednego z pachołków, wykrzyknął radośnie:

— Niech żyją przyjaciele mistrza Ulryka!

I wychylił kielich do dna.

W jednej chwili pachołkowie otoczyli gości i każdego częstowali, przyczem z głębi boru coraz to nowi wysuwali się rycerze.

Wnet ogromna ich liczba białymi płaszczami zaświeciła w słońcu i coraz radośniej witała zagranicznych gości.

Gdy w tak niespodziewany sposób, witano rycerskich gości zachodnich, tuż w pobliżu zagrzmiała skoczna muzyka, wzmogło się szczekanie psów, głosy krzykliwe urywanej rozmowy, i nagle z głębi boru wyjechał na skraj lasu rycerz w błyszczącej zbroi, na ognistym, karym rumaku.

Tuż obok rumaka biegło kilku pociesznych karłów, w jaskrawych strojach. Podalej ciągnął orszak strojnych, dworskich dam w lektykach.

Rycerz ów, będący w sile wieku, o groźnem spojrzeniu drapieżnego sępa, wprost jechał do hrabiego de Castillo.

Ten ostatni, trzymając w ręku puhar z winem, którego nie zdążył jeszcze wypić, ujrzawszy świetnego rycerza, ze zdziwieniem zawołał:

— Mistrz Ulryk!.. Na Boga, co za szczęśliwy dzień dla mnie i moich towarzyszy!

Rycerz w świetnej, błyszczącej w słońcu zbroi, roześmiał się głosem chrapliwym, podniósł swą sępią twarz do góry i ręce wyciągnął ku niebu.

— Dzięki niech będą Zbawicielowi świata, którego Grobu w Jerozolimie strzegli moi przodkowie — zawołał z udanem wzruszeniem — dzięki niech będą Opatrzności, że tak znakomitych rycerzy mogę powitać na ziemi Zakonu!..

— Co słowo, to kłamstwo! — mruknął gniewnie pan z Lipna. Na kradzionej ziemi stoi i nazywa ją swoją... Kim więc jest ten rycerz dumny, głową Zakonu niemieckiego, łatwo odpowiedzieć...

Słowa te, choć cicho wypowiedziane, posłyszał hrabia de Castillo i szepnął błagalnie:

— Na Boga, milczcie, jeśli wam życie miłe!

Poczem, strojąc lica w wesołość udaną, przedstawiał swych towarzyszy mistrzowi.

— Na odpoczynek po trudach długiej i uciążliwej podróży zapraszam was, hrabio, i was mili, a dostojni goście! — mówił mistrz. — Tam, wśród boru, na polance, miękką murawą pokrytej, wśród rozbitych namiotów przypomnimy sobie czasy, gdyśmy bawili na dworze cesarza Zygmunta. Dalejże, Jagiełło, Witold, dalej przodem!..

— Jagiełło! Witold! dalej przodem! — zabrzmiał, jak grom przez wszystkich obecnych krzyżaków, wśród ogólnej wesołości powtórzony ten rozkaz mistrza.

Wyrwały się zaraz naprzód dwa karły i dwa charty... Karły miały na głowach dziwaczne korony blaszane, w rękach berła.

Jeden miał na plecach kawałek skóry niedźwiedziej, a na piersiach nopis „Jagiełło“, drugi o sakwie żebraczej „Witold“.

Lecąc przodem darli się w niebogłosy:

— Z drogi bory, z drogi chmury, bo tak każe król niedźwiedź, bo tak każe król żebrak... Jam Jagiełło!.. Jam jest Witold!..

Mistrz zaś śmiał się złośliwie i wskazując na łaszące się u nóg jego rumaka dwa olbrzymie charty, powtarzał:

— I to Jagiełło!.. I to Witold!.. I to także królowie!..

— I oby tak wkróce u nóg waszych warowali! — krzyknął groźnie komtur toruński.

Mistrz dumnie, z demoniczną w sępich oczach siłą zwrócił się ku Polsce, pochwycił od pachołka puhar i trzymając go w ręku, wołał:

— Niech żyją, mili goście mòi!.. Niech giną Jagiełło i Witold!

I znowu okrzyk jak grom, wyrzucony z piersi wszystkich obecnych, zabrzmiał na skraju boru.

— Niech giną Witold i Jagiełło!

Pan z Lipna, to bladł, to stawał się z gniewu purpurowy, ale szlachetny hrabia de Castillo czuwał nad nim, hamował jego porywczość.

— Na Boga, zgubicie się, gdy choć słówkiem oburzenie zdradzicie, kim jesteście... Polska w potrzebie... nie zapominajcie o ojczyźnie!..

I pan z Lipna zaciskał zęby, tłumił gniew w piersi, błagał Boga o cierpliwość, przeklinał w duchu bezczelną butę krzyżacką.

Wśród ogłuszającej wrzawy, grania kapeli, wśród rozbawionych okrzyków strojnych pań, przybyłych z Torunia, a siedzących w iście królewskich lektykach, hrabia de Castillo i jego towarzysze zdążali do polanki, gdzie ukazały się w oddali wspaniałe, do pałaców z jedwabiu i złota zbudowanych podobne — namioty wielkiego mistrza.

— Nim godnie w Malborgu was powitam, przyjmijcie u boku mojego, w namiotach moich podróżnych, skromny posiłek i spoczynek — mówił mistrz Ulryk łaskawie do zadziwionych przepychem jego dworu gości.

*(D. c. n.).* *Stefan Gębarski.*



## ZŁOTE MYŚLI.

Niejeden dla swoich spraw nie ma czasu, bo się do cudzych zanadto miesza.



...Gdy Pan Bóg świat stawił,
Wszystkim nam sakwy do barków przystawił.
W przedniej torbie nosimy cudze, a zaś w tylnej
Każdy z nas, by nie widział, swe przywary kładzie.



Bądź uprzejmym dla wszystkich, nie pochlebiaj nikomu, sprawiedliwością zaś rządź się w każdej sprawie.



Niema stanu, któryby nie miał swych goryczy, niesmaków, lecz nie trzeba zniechęcać się przeciwnościami a iść dalej w Imię Boże.



Józef Grajnert.

# Z dziejów Jasnej Góry.

## Cudowne uzdrowienie paraliżem tkniętej matki biskupa chełmińskiego.

Konrad, książe mazowiecki, na ubezpieczenie się od częstych najazdów Litwy, Jadźwingów i Prusów, sprowadziwszy niestety! z Niemiec zakonnych rycerzy Panny Maryi, inaczej Krzyżakami zwanych, nadał im w kwietniu 1228 roku Chełmno wraz z ziemią chełmińską. Obowiązali się oni wiernie i dzielnie pogan gromić, a po ich zgromieniu rzeczoną ziemię zwrócić, inne zaś jakiekolwiek w Prusiech nabytki, między sobą, a książęciem lub jego następcami równo dzielić. Obiecali także Polakom żadnego gwałtu i krzywdy nie czynić, nieprzyjaciół onych do siebie nie przyjmować, ani im pomocy dawać; na każde też Polaków zawołanie onych przeciwko poganom posiłkować. Co gdyby tych obowiązków nie wypełnili, karom, prawami narodów uchwalonym przeciw niewdzięcznym, to jest odjęciu dobrodziejstw, podpadać mają.

Wkrótce ci chytrzy przybysze, osłaniający się walką z niewiernymi na cześć Maryi, dokazali, iż biskup chełmiński ustąpił im wszystkich donacyj od Konrada i Gedeona kościołowi uczynionych. Zachował wszakże sobie Chrystyan najwyższą zwierzchność. Krzyżacy zostawić mieli jemu i jego pięć folwarków, bez żadnej temu zakonowi krzyżackiemu podległości. Nie mieli puszczać nikomu dóbr sobie ustąpionym lennem, to jest uzależnionem, warunkowem prawem, bez pozwolenia biskupa, a ci wszyscy, którzy od nich te ziemie trzymać będą, mieli wojować swoim kosztem pogaństwo i ono biskupstwu podbijać. Podczas wojen z niewiernymi, chorągiew biskupia ma poprzedzać chorągwie tych mnichów-rycerzy, a gdziekolwiek biskup do ich dóbr przyjechał, mają go przyjmować jako pasterza i pana swojego, dostarczając wszelkich potrzeb. W przypadku niedotrzymania tych obowiązków, od wszystkiego Krzyżacy odpadać powinni byli.

Taką zawarto podówczas umowę.

Nie upłynęło lat 70-ciu, gdy żmije krzyżackie, nietylko że nie do-

trzymały tych zobowiązań, ale wytępiwszy ogniem i mieczem pogańskich Prusów, harde swe głowy i przeciwko samej Polsce podniosły.

Tymczasem po takich układach, 1232 r. Herman Balck, pierwszy ich mistrz prowincyalny, czyli wielki komtur, zajął się odbudowaniem spalonego i zburzonego przez Prusów zamku wraz z miastem i obdarzył je tegoż roku w grudniu prawem zasadniczem. Krzyżacy, obejmując Chełmno i nadając je mieszczanom, zastrzegli: aby to miasto i inne w tej ziemi, prawem magdeburskiem się rządziły. że zaś tym przywilejem Chełmno za miasto główne na całe Prusy, a sąd w niem ustanowiony za wyższą instancyę uznanym został, przeto wzorowane prawo Magdeburga zmieniane lub pomnażane wielkiemi, czyli uchwałami miejskiemi, Chełmna, nie zwało się w Prusach i w prowincyach polskich, dokąd przechodziło, Magdeburskiem lecz Chełmińskiem.

Wzmocnione miasto murami obronnemi, otrzymało 1239 r. przywilej bicia monety. W pięć lat potem Świętopełk, książę pomorski, w wyprawie swojej, nie mogąc zdobyć zamku, zniszczył miasto przez podpalenie. Gdy też miejscowość ta dla swego niskiego położenia podlegała zalewom Wisły, przeto cała posada w r. 1253 przeniesioną została opodal na wyniosłe wzgórze, otrzymawszy za herb godło gór, a na jednej z nich krzyż, godło krzyżackiego zakonu.

Gdy Chełmno przystąpiło do handlowo-kupieckiego czyli hanzcatyckiego związku miast niektórych niemieckich i polskich, osiedlane być poczęło przez Anglików, Duńczyków Hollendrów; handel przyczynił się do szybkiego wzrostu miasta, a kupcy okazałe budowali domy.

Chełmno było stolicą siedmnastu krzyżackich mistrzów prowincyonalnych w Prusiech, lecz gdy w r. 1309 wielki mistrz Zakonu przeniósł siedlisko swoje z Niemiec do Malborga, zniesiony został urząd Mistrza Prowincyalnego w Chełmnie.

Zbrojni, wiarołomni mnisi, wzbiwszy się przy pomocy całych Niemiec w siłę i znaczenie, nie tylko że nie dopełniali zobowiązań, ale nadto wkraczając do Polski, pożogi i spustoszenia roznosili.

Roku tedy 1328 Władysław Łokietek, niechcąc już dalej cierpieć od Krzyżaków tych swoich krzywd wielkich, uczynił pospolite ruszenie przeciwko nim, mając do tego pomoc od Roberta, króla węgierskiego, zięcia swego, a też od Litwy i Rusi, wyciągnął do ziemi Chełmińskiej i zawojował ją aż do rzeki Ossy. Zamkom tylko dał pokój, na których się Krzyżacy wszędzie znajdowali, a bitwy mu nigdzie potem dać nie chcieli, Wyroili się z nich potem przez nowych Niemców wzmocnieni, paląc, burząc wsie i miasta, wyrzynając polski lud, aż im znowu straszliwie Łokietek przytarł rogi pod Płowcami na Kujawach.

Syn jego, Kazimierz Wielki, po długiej z nimi wojnie, dla zabezpieczenia spokojności z ich strony, mając oczy zwrócone na Ruś Galicyjską, pragnącą rządów polskich, ustąpił im traktatem kaliskim w r. 1343 wieczyście ziemie: Chełmińską i Michałowską. Lecz i potem spokoju z ich strony nie było. Napróżno Jagiełło łożył starania celem odzyskania tych ziem, staczał zwycięskie boje, a 1422 r. zniszczył okolice Chełmna.

Uciskani przez Krzyżaków obywatele pruscy poddają się dobrowolnie 1454 r. uroczystym aktem Kazimierzowi IV Jagiellończykowi. Powróciła wprawdzie ziemia Chełmińska wraz z innemi pod berło polskie; lecz wynikła z tego powodu zacięta z Zakonem wojna, w czasie której Chełmno, najznakomitsze z miast pruskich, smutnego doznało losu. Wskutek porozumienia się tajnego mieszczan niemieckich z Krzyżakami, otwarto im bramy 1457 r. Odzyskawszy je, król tegoż roku surowo karze takowe sprzeniewierzenie się, skazując burmistrza i pięciu rajców na gardło, miasto na łup żołnierstwa oddaje, i znosi do Chełmna innych miast apellacye w sprawach sądowych. Nakoniec pokojem Toruńskim zrzekł się pokonany Zakon krzyżacki i nazawsze Polsce odstąpił ziemię Chełmińską, która odtąd zamieniona została na województwo. Król Aleksander w r. 1505 darował miasto biskupom Chełmińskim.

W czasie krzewiącej się reformacyi Lutra, miasto upadać zaczęło, a wojna szwedzka za Jana Kazimierza prawie doszczętnie je zniszczyła. Napróżno starali się biskupi podźwignąć je z gruzów, nieład i klęski krajowe stawały na przeszkodzie.

Szkoła, zostająca tu pod zwierzchnictwem biskupów miała tytuł akademii. Papież, Urban VI przywilejem swym z r. 1387 porównał ją z prawami uniwersytetu Bolońskiego. Pierwsza myśl założenia tej akademji wyszła od mistrza w. krzyżackiego, Winryka von Kniprode. Po reformacyi, począwszy od r. 1691 stała się ostatecznie akademia chełmińska filją akademii krakowskiej, od której wzrost i rektorów swoich brała. — Za rządów pruskich, po pierwszym rozbiorze kraju w r. 1772, akademia chełmińska coraz bardziej podupadała, odtąd też Chełmno do biskupów należeć przestało.

Mieszczanie trudnili się niegdyś uprawą winnic: nietylko mieli wino na potrzeby, ale i na sprzedaż.

Oprócz świątyni starożytnej i pięknej z r. 1233, z obrazem N. M. Bolesnej i wielu pomnikami, oraz grobami, a też z relikwiami ś-go Walentego i Jana Kantego, istnieje tu jeszcze po Benedyktynach klasztor i kościół piękny Szarytek, czyli sióstr miłosierdzia. Zniknęły zaś w części, przy najeździe Szwedów, a głównie po okupacyi pruskiej kościoły:

ś-go Ducha, ś-go Jerzego, ś-go Marcina i ś-tej Agnieszki, wraz z klasztorami Dominikanów i Franciszkanów i Łazarzystów, czyli misyonarzy.

Miasto porządnie zbudowane nie posiada przedmieść; wśród rynku stoi piękny ratusz z wieżą. W r. 1775 wybudowano kształtny gmach dla Kadetów, a r. 1782 pierwszy kościół ewangelicki w mieście.

W roku 1676, gdy Jan Sobieski po bohaterskich bojach z Turkami, pod Żórawnem odebrał im pół Ukrainy, późniejszy biskup Chełmiński, Stanisław Święcicki, podówczas biskup Spigaceński, dziekan Inowrocławski, zeznał w klasztorze Jasnogórskim O. O. Paulinów o swojem w dziecięctwie konaniu i uzdrowieniu, a także o przywróceniu do zdrowia swej matki, paraliżem po kilkakroć tkniętej, w te słowa:

„Pannie przebłogosławionej, której święty Obraz na Jasnej Górze Częstochowskiej, wielkiemi całą Polskę dotychczas ubogaca dobrodziejstwy, im więcej ludzi wota swoje pobożnem sercem oddaje, ja też niżej podpisany, w osobie mojej uznaną łaskę do jawnych ksiąg podaję.

Z rodziców szlachetnych, Jakóba Święckiego i Katarzyny Wąsowskiej, R. P. 1621, dnia 4 oktobra (października) urodziwszy się, żadnej innej matki pokarmu zażywać nie chciałem, tylko własnej matki mojej, która gdy każdego roku w Niedzielę drugą po Wielkiejnocy, zwykła była nawiedzać św. Obraz Częstochowski, i wielu z sobą prowadząc, żywiła własnym kosztem, długo się biedziła z myślami, czy nabożeństwu, czy też dziecinie dogodzić miała, gdyż zażywać pokarmu od innej niewiasty strachało się. Przemogło nabożeństwo do Najświętszej Panny, a zostawiwszy syna w tej nadziei, że w niebytności matki własnej, może innej niewiasty pokarmu zażywać, wybrawszy się, poszła pieszo z drugimi na podziękowanie za potomka, a z prośbą o zdrowie i uczciwe jego wychowanie.

Gdy powracała drugiego tygodnia do domu, jeden z domowników, zabiegłszy jej drogę, daje znać, że synaczek jej kona, bo już trzynaście dni bez pokarmu zostawał.

Zatrwożona matka, wpadłszy do domu, ledwie tchnącego syna weźmie na ręce, a uklęknąwszy przed Obrazem Najświętszej Panny Częstochowskiej, w domu zawsze będącym, pocznie wzywać Jej opieki, aż wtem umierający przyszedł do siebie, a karmiąc się znowu ukochaną piersią matczyną, zupełnie ozdrowiał.

Znowu tedy do Częstochowy z tak uzdrowionem dziecięciem powróciła na podziękowanie i oddanie siebie i synka w opiekę Najświętszej Pannie, a potem tem pilniej nawiedzała miejsce święte.

Aleć i pobożnej niewieście, a matce mojej, Najświętsza Panna wielką uczyniła łaskę, kiedy po cztery razy paraliżem nawiedzoną, życiem

i zdrowiem darowała tak prędko, że po tej bezwładnej niemocy, drugiego albo trzeciego dnia w północ modlącą się domownicy znajdywali.

Tak zeznając, ja, Stanisław Hyacent Święcicki, biskup Spigaceński, scholastyk gnieźnieński, dziekan inowrocławski, archidyakon i proboszcz świętego Jerzego, oficiał Warszawski i t. d.".

Tu dodamy, że Stanisław Święcicki, ostatecznie biskup Chełmiński, urodził się we wsi Święcicach, ziemi warszawskiej, gdzie właśnie wraz z matką swoją doznał owych cudownych przygód. Pochowany został r. 1696 w Chełmnie, zostawiwszy po sobie piękną pamięć, iż był biskupem gorliwym, i bardzo dbałym o oświatę ludu kapłanem.



## ZŁOTE MYŚLI.

Ubóstwo lub też bogactwo zazwyczaj tak zmienia człowieka, że go najlepsi przyjaciele nie poznają.



Umieć milczeć jest trudniejszą cnotą, niż umieć mówić.



Koniec życia ludzkiego
Jest końcem dnia właśnie;
Im kto szczerzej pracował —
Tem spokojniej zaśnie.



Najgorszym człowiekiem jest ten, który niczego nie szanuje.



Może to być zarówno wielką mądrością, jak i wielkiem głupstwem, mówić to, co się myśli.

Marcin Kopiec.

# KRÓL SOBIESKI NA ŚLĄSKU

## w Kościołach

## w drodze pod Wiedeń.

### V.

### Rzut oka na kraj Górno-Śląski, przez który król Jan III przejeżdżał.




*Herb miasta Gliwic.*

Tarcza dwudzielna, — z prawej strony pole niebieskie, — z lewej czerwone, przepołowione polem srebrnem W pośrodku owalna baszta forteczna o trzech otworach, pod niemi II F. (co znaczy: cesarz Ferdynand II nadał Gliwicom za waleczność i męztwo tenże herb pod dniem 14 VIII 1629 r.). Nad bramą wjazdową dwie gałązki palmowe, wetknięte na krzyż w kraty. Za basztą w prawem polu niebieskim pół-orła białego, w lewem czerwonem i srebrnem pół-orła czarnego (orzeł śląski, — na piersiach półksiężyca nie widać). Nad kulą ziemską wystającą ze szczytu baszty, w pół-księżycu Matka Najświętsza, piastująca w promieniach słońca Dziecinę Bożą, dzierżące w prawej rączce złote berło. Nad tarczą mur forteczny z bramą o trzech wieżycach. Labry srebrne i czerwone na podkładzie czarnym. Pod herbem od strony orła czarnego gałęź liści dębowych, — od strony orła białego gałąź liści laurowych. Obie gałęzie przeplatane i związane wstęgami biało-niebiesko-czerwonemi.

## GLIWICE. — GŁOGÓWEK.

Jeżeli się wpatrzymy w ten niezwykły herb Gliwicki, w którym Matka Najświętsza z Dzieciątkiem Bożym na przedzie jaśnieją, to nietylko, że nas herb ten zachwyca, ale i w podziw wprowadza. Głęboka wiara, gorąca miłość i bezgraniczna ufność w pomoc, obronę i opiekę Najświętszej Maryi Panny sprawiły, że ojcowie miasta podczas krwawej 30-to letniej wojny wybrali ją sobie za patronkę, za obronicielkę i za władczynię swego grodu. Tak, jak wieniec utkany z mgiełek otacza księżyc na firmamencie niebieskim, jakby dla osłony przeciw nieznanym, wrogim żywiołom, tak też i Matka Najświętsza ze swojego klejnotu Grodzkiego, otoczona blaskiem promieni słonecznych, odwracała pożogi, napady i wszelkie krwawe ciosy, zadawane miastu i jego mieszkańcom przez wrogów chrześcijaństwa.

Gliwice — to gród Maryi...

Król Jan-Kazimierz, przybywszy z Głogówka do Lwowa, czyni tamże uroczyste śluby w katedrze, u stóp Najświętszej Maryi Łaskawej w d. 1 kwietnia 1656 r., obiera Matkę Najświętszą na Opiekunkę swoją, obiera ją na królowę królestwa swojego i poleca jej opiece i obronie siebie i swój naród — cały lud królestwa swojego i wszystkie ziemie do tegoż królestwa należące.

Król Jan-Kazimierz nie był pierwszym, co szukał pomocy i obrony w miłosierdziu Najświętszej Matki Boskiej przeciwko nieprzyjaciołom ś-go Rzymskiego Kościoła, czyli przeciwko Szwedom, co najechali Rzeczpospolitą, niszcząc ogniem i mieczem wszystko, co na swej drodze spotkali. Wyprzedzili go już o 30 lat wcześniej Gliwiczanie, Ojcowie miasta, a przedewszystkiem Jerzy hrabia Oppersdorf, pan Grodu Gliwickiego na Głogówku w ziemi Opolskiej, — wtedy, kiedy król szwedzki Gustaw Adolf, wnuk Gustawa I Wazy, przerzucił swoje wojska ze znakomitymi swymi wodzami: Hornem, Bauer'em, Boudissin'em, Teufel'em i wielu innymi, ze Szwecyi na ziemię niemiecką, przeciw wojskom cesarza Ferdynanda II, dla obrony luteranizmu.

Po wygaśnięciu książąt górno-śląskich i ich spadkobierców, Gliwice przeszły do skarbu państwa Austryackiego. W roku 1596 nabyła je od skarbu komuna Gliwicka, a od komuny w roku 1597 przeszły Gliwice do rodziny Oppersdorfów na Głogówku, która jednocześnie Koźle, Głogówek, Sławieńczyce i wiele innych dóbr państwowych od skarbu nabyła, a to za zasługi, jakie ich przodek Jan Oppersdorf, namiestnik księstwa Raciborsko-Opolskiego (1557 — 1568) na wojnie z Turkami, położył.

Co zacz był hrabia Jan Oppersdorf na Górnym Śląsku, wystarczy nam relacya sejmu ziemiańskiego, wysłana w końcu listopada 1556 r. do króla Ferdynanda I, o niefortunnych, uszczerbek krajowi przynoszących,



***Kościół farny w Gliwicach pod wezwaniem Wszystkich Świętych,***
zbudowany na miejscu starego; — konsekrowany w roku 1504 przez biskupa Wrocławskiego Turzo (Jana VI). [1])

rządach Izabeli, córki Zygmunta I i Bony Sforcyi, byłej królowej Węgier, Dalmacyi i Kroacyi, a która w zastępstwie swego nieletniego syna, Jana-Zygmunta od 1551 — 1557 r. księstwami Raciborsko-Opolskiemi rządziła.

---

[1]) Jan Turzo, 28-my biskup Wrocławski od 1501 — 1520 r., urodzony w Krakowie, pobierał tamże nauki w akademii, był jej profesorem, a następnie rektorem (1498). Nadto był scholastykiem gnieźnieńskim, kanonikiem krakowskim a następnie dziekanem Wrocławskim. Po rezygnacyi Jana V Rotha, objął już jako koadjutor w r. 1501 biskupstwo Wrocławskie. Dnia 11 Marca 1509 r. wspólnie z bratem swoim Stanisławem biskupem Ołomunieckim, koronował trzechletniego Ludwika, syna Władysława Jagiellończyka na króla czeskiego. Umarł dnia 2 Sierpnia 1520 roku na zamku swoim w Nizie, mając lat 56; — pochowany w kaplicy Ś-go Jana przy tamecznym kościele katedralnym.

„Odbierzcie królowej Izabeli księstwa Raciborsko-Opolskie, — pisze król w odwrotnej odpowiedzi — i wybierzcie z pomiędzy siebie męża szlachetnego, sumiennego, uczciwego, zacnego, sprawiedliwego, a przedewszystkiem, takiego, coby zdolen był przez Izabelę naruszone podstawy wiary św. katolickiej do porządku doprowadzić, — odbierzcie od niego przysięgę, — złóżcie w jego ręce rządy obu księstw, a ja go namiestnikiem ziem waszych zamianuję“...

I stany na owym sejmie Opolskim jednogłośnie obrały Jana Oppersdorfa, pana na Dębiu (Aich) i Frydstynie, uznawszy go za najszlachetniejszego do objęcia godności na namiestnika księstw Raciborsko-Opolskich [1]).

Był to już z rzędu 6-ty od śmierci księcia Jana Opolskiego († 27.III 1532 r.) z ogólnej liczby 23 namiestników, którzy rządzili księstwami górnośląskiemi, to jest od Jerzego, margrabiego Brandenburskiego do ostatniego 23-go Karola-Józefa-Ziemowita hrabiego Henckla-Donnersmarka, pana na Bytomiu, Tarnowskich górach i Boguminie, którego król pruski, Fryderyk Wielki, po aneksyi Śląska pod dniem 23.III 1744 r. naczelnym prezydentem regencyi Opolskiej mianował, a następnie wskutek utraty Koźla, w tymże samym roku, z kraju wygnał.

Hrabia Oppersdorf, zostawszy namiestnikiem, nabył w roku 1563 od skarbu państwa w drodze zastawu Głogówek, raczej ruiny miasteczka i zamku, który ongi wygasłym księstwom Opolskim za rezydencyę letnią służył. Zabrał się też z całą energją do podniesienia z gruzów tej prastarej siedziby Piastów Opolskich, zbudowanej nad rzeką Osobłogą, w czasach zamierzchłych, przez nieznanych rycerzy, na wysokiej górze, w malowniczej miejscowości, wśród obszernych, woniejących aromatyczno-balsamiczną wonią łąk, które odnogi bystrej rzeczki Osobłogi przerzynają. Była to ulubiona miejscowość, znanego w naszej historyi księcia Władysława Opolskiego, namiestnika Królestwa Polskiego, palatyna Węgier, wielkorządcy Rusi, pana na Wieluniu, Ostrzeszewie, Bobolicach, Bołsku, Bydgoszczy, Gniewkowie i ziemi Dobrzyńskiej, który obraz święty Matki Boskiej z Bełska do Częstochowy sprowadził. Tam to, w tym małym grodzie Głogowieckim, ten niezwykły szermierz swojego czasu, wśród niezamąconej ciszy własne grzechy, powstałe skutkiem niefortunnej swojej polityki, rozpamiętywał.

---

[1]) Weltzel, Geschichte der Stadt und Herrschaft Ratibor.

Władysław Opolski, zawyrokowany przez historyografów polskich „zniemczałym Piastowiczem“, był gorącym czcicielem Matki Najświętszej i wiernym synem Kościoła katolickiego. Budował szpitale, klasztory i kościoły.

W Oleśnie (Rosenberg) zbudował w roku 1374 wspaniałą świątynię pod wezwaniem ś-go Michała, oddawszy ją następnie na wieczystą własność książęcemu klasztorowi OO. Augustyanów. W Opolu wybudował szpital, powiększył kościół ś-go Wojciecha, rozszerzył klasztor, uwalniając go od wszelkich podatków i obdarzył rozległymi majątkami. Na górze Częstochowskiej wybudował kościół i klasztor, umieścił w nim 16-tu OO. doktorów-Paulinów, sprowadzonych z Węgier. Na łąkach pod Głogówkiem wybudował kościół i klasztor pod wezwaniem Ś-tej Trójcy, sprowadził z Jasnej Góry 6-ciu zakonników i darował go OO. Paulinom częstochowskim na własność po wieczne czasy. Gorliwie szerzył też religię katolicką. Urządził hierarchię kościelną, założywszy oprócz arcybiskupstwa halickiego trzy biskupstwa: przemyskie, włodzimierskie i chełmskie..

Interesującą wiadomość odnaleźliśmy w starej książeczce, którą za białego kruka uważaćby należało. Wydał ją we Wrocławiu, w roku 1770, w szóstym wydaniu, Franciszek Ksawery Rotter, przeor konwentu O.O. Paulinów jasno-górskich pod tytułem: „Ucieczka grzesznych, czyli przystęp strapionych do cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej od 367 lat łaskami i cudami słynącej“ *).

Książeczkę dedykował konwent O.O. Paulinów:

„Wysoko-urodzonemu Panu FRANCISCO - ADALBERTO TENTSCHIN, hrabiemu świętego Państwa Rzymskiego, rzeczywistemu Radcy Kameralnemu Najjaśniejszego Cesarza Rzymskiego, dziedzicowi i Panu na Bieżuniu, Chechłowie, Taciszowie, Ciszowicach, Miechowie, Małych Rośmierzach, Szymiszowie, Rzuchowie, Krawarzu, Makowie i t. d., — Najdostojniejszemu Panu i Współbratu Zakonu naszego ś-go Pawła I Pustelnika, a także i wysoko-urodzonym pokrewnym Jego: hr. Sobkowi i hr. Hencklowi, za chwalebne, z wielką gorliwością przez nich pomiędzy lud szerzone książki, o czci i chwale, o cudach i łaskach Najświętszej Panienki naszej Częstochowskiej, a które tak obfity plon wydały...

„O! dowiedz się potomności nasza!—kończą dedykacyę O. O. Paulini, — że wyżej wspomniane wysoko-urodzone osoby przyby-

---

[1]) Breslau, gedruckt bey Franz Kreuzer, nadwornego książęco - biskupiego drukarza.

wały z całem swoim rodzeństwem nie raz, lecz kilka razy do roku, pomimo najcięższych ziemskich przeszkód, — do stóp Matki Najświętszej Częstochowskiej!... dowiedz się potomności nasza, że Matka Najświętsza, widząc w ich sercach prawdziwych swoich czcicieli, w nagrodę, obficie łaskami swojemi ich obdarzyła...“

Czytamy tam, że Władysław, książę Opolski, stanął z obrazem świętym u podnóża góry Częstochowskiej **w dniu 28 Augusti 1382 roku,** przed zachodem słońca [1]). Przywiózł go z Bełska na wozie, obwinięty w pokrowce, w otoczeniu swojej rycerskiej drużyny.

Uprzednio wysłany posłaniec książęcy zwiastował o tem O.O. Paulinom, którzy też niebawem w zupełnym komplecie zeszli z klasztoru do podnóża góry, a odprawiwszy tamże odpowiednią ceremonję powitalną, wzięli obraz święty na kwieciem przystrojone nosze i przy odgłosie dzwonów klasztornych, jako też dzwonów kościoła ś-go Zygmunta, przy rzewnym a melodyjnym śpiewie zebranego ludu, w procesyonalnym pochodzie, zaniesiono go do klasztoru, ustawiono na ołtarzu i uroczyste odprawiono nieszpory.

Książe Władysław i cała rycerska drużyna wypoczywała w klasztorze z dnia 28-go na 29-ty Sierpnia. Książe nie miał zamiaru pozostawienia obrazu świętego w klasztorze Częstochowskim. Pragnął bowiem obraz Boga Rodzicy mieć w Opolu w kaplicy swojego zamku... Boże wyroki jednakże inaczej zrządziły...

Po dostatnim wypoczynku i po odprawieniu solennego nabożeństwa przed obrazem Matki Boskiej, na intencyę dalszej szczęśliwej podróży do Opola, zajechał przed świątynię klasztorną wóz, wyłożony kobiercami, na którym O.O. Paulini obraz święty ułożyli... Niestety! pomimo wszelkich wysiłków, konie nie chciały ruszyć z miejsca: były to te same konie, co obraz święty przywiozły z Bełska do klasztoru Częstochowskiego.

Książe Władysław, widząc w tym niespodziewanym zdarzeniu zrządzenie Boskie, zwrócił się do obecnych i rzekł:

— Bracia moi mili,—tu przebija się wola Boża, której sprzeciwiać się nie można: widocznem jest, iż Matka Najświętsza obrała sobie to miejsce za swoją siedzibę;—to też zostawiam wam ten obraz święty

---

[1]) Data 9-go Sierpnia 1382 roku, podana przez wszystkich niemal, opisujących Jasną Górę byłaby zatem wątpliwą. Wątpi także o niej ks. St. Ulaniecki w swoim dziełku: „Niepokalana Matka Boża Dziewica Marja na Jasnej Górze“ str. 38 — 39. Sprowadzenie Obrazu Swiętego na Jasną Górę musiało mieć miejsce pod dniem 28 Sierpnia 1382, tak jak to O.O. Paulini w dedykacyi swojej naznaczyli. Konwent O.O. Paulinów omylić się nie mógł i nie powinien.

po wieczne czasy, z warunkiem, że mi przygotujecie kopię wizerunku świętego, żebym go mógł mieć u siebie, w swojej własnej ziemicy!

Miałżeby być Władysław książe Opolski tym mężem wybranym, co przyczynił się do spełnienia proroctwa ś-go Wojciecha?..

---

## Proroctwo Świętego Wojciecha.

Ś-ty Wojciech, przechodząc z Pragi Czeskiej przez Opawę, Racibórz, Opole do Chrobrego, zatrzymał się w Opolu. Wówczas Opole nie było jeszcze stolicą udzielnego księstwa. Było tam tylko stare zamczysko na wysepce, okolone odnogami rzeki Odry, zbudowane w czasach zamierzchłych przez niewiadomych rycerzy. Była tam i osada, licznie już wówczas zamieszkała przez ludność pogańską. Ś-ty Wojciech był zatem pierwszym kapłanem chrześcijańskim, co zawitał na polską ziemię, — na te pola — Opola, zamieszkałe przez lud pogański, aby na nich zasiać nową wiarę Chrystusa, a w serca ludu pogańskiego wszczepić wiarę, miłość i braterstwo.

W przeciwnej stronie starego zamczyska była wysoka góra, a szczyt tej góry obrał sobie ś-ty Wojciech na kazalnicę. Garnął się lud do świętego męża; przybywał z blizka i z daleka, pochłaniał każde słowo, co tenże święty mąż o Bogu i o Matce Najświętszej wygłaszał.

Pewnego dnia, gdy słońca promienie rozlały się po szerokich łanach ziemi opolskiej, ś-ty Wojciech wstępował na górę w otoczeniu swoich pogan-prostaczków, szedł niby pasterz ze swojemi owieczkami, aby je tamże nakarmić, nie pokarmem cielesnym, ale duchowym, — słowem Bożym.

Mówił wiele, mówił wzniośle do słuchających go pogan, mówił o Boga-Rodzicy Dziewicy, — Bogiem sławionej Maryi i o jej synu hospodynie:

„Matko zwolena Maryo! ziści nam, spuści nam
Kirie elejson — twego syna — Krzciciela — zbożny czas.
Usłysz głosy, napełnij myśli człowiecze:
Słysz modlitwę — jeszcze cię prosimy —
To dać raczy — jegoż prosimy;
Daj na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt. Kirie elejson i t. d.“

Gdy tak mówił ten święty mąż, — podniósł nagle oczy swoje w niebios przestworze i w te, blaskiem olśniewające słońca promienie, rzekł:

„Matka Boska, Bogiem sławiona Marya! obierze sobie siedlisko na górze — na Słowiańskiej ziemi i zamieszka pomiędzy wami...“

Przerwał ś-ty Wojciech, jakby wsłuchiwał się, w dalsze prorocze słowa, które mu Matka Najświętsza z nieba podpowiadała:

„Tak, jak te słońca promienie, co jaśnieją nad naszemi głowami, rozchodzą się daleko i szeroko po świecie, — tak też Bogarodzica, Bogiem sławiona Marya jaśnieć będzie na tej górze, a sława jej z tej góry rozejdzie się daleko i szeroko, nietylko po ziemi słowiańskiej, ale po całym świecie...“

Po chwilowej przerwie, ś-ty Wojciech, patrząc wciąż w niebo, mówił w natchnieniu dalej:

„Góra, na której Bogarodzica zamieszka, zaświeci jasnością... i po wszystkie czasy Jasną-Górą (Clarus-Mons) nazwaną będzie...

Było to w roku 984, a wiadomość tę czerpiemy z kronik po-klasztornych śląskich. Oprócz tego proroctwa odnaleziono rękopis w klasztorze ś-go Wojciecha, czyli O.O. Dominikanów, następującej treści:

„W roku 984 po narodzeniu Chrystusa, za panowania Ottona II, biskup Wojciech był pierwszym, który nauczał lud Ewangelii, na wysokiej górze, na której stoi klasztor O.O. Dominikanów. Nauka biskupa nie była płonną, — stał się nawet cud, — albowiem biskup swoją laską z tejże góry wywołał studzienkę. Następnie na temże miejscu polecił ludowi zbudować kościołek, który jego imieniem, to jest: „Kapliczką ś-go Wojciecha“ nazwano. Kapliczka ta była pierwszym kościołkiem chrześcijańskim na polskiej ziemi“ [1]).

256 lat stała „kapliczka Wojciecha“ na tejże górze w Opolu. Dopiero Władysław (1247 — 1282), gdy odziedziczył księstwo opolskie po bracie Mieczysławie II, zmarłym bezpotomnie dn. 1 lipca 1246 r. w 30-ym roku życia, wybudował na tymże miejscu klasztor Dominikański i obdarzył go prawami parafialnemi.

---

[1]) Almanach sämmtlicher Kloster und Ritterordeu.

## VI.

### Klasztor O.O. Paulinów na Łące pod Głogówkiem
(zwany klasztorem Lechnickim).

Władysław, przybywszy bez obrazu świętego do Opola, nie mógł zrazu pogodzić się z myślą, że tak niespodziewanie rozstać się musiał ze swoim najdroższym skarbem — Matką Boską Bełską, — którą z tatarskiej niewoli uprowadził, a pomimo wszelkich usiłowań na zamek Opolski przywieźć nie zdołał. Postanowił przeto, zamiast sprzeciwiać się woli Bożej, wznieść w swojem państwie takiż sam klasztor, jak w Częstochowie, pod wezwaniem ś-tej Trójcy, umieścić w nim kopję wizerunku Matki Boskiej Bełskiej, sprowadzić pewną liczbę O.O. Paulinów, których, jako wielkiej nauki mężów, obdarzał bezgranicznem zaufaniem, a następnie oddać im klasztor wraz z kościołem pod zawiadywanie i na własność po wszystkie czasy.

Zamiarów swoich jednakże na razie do skutku doprowadzić nie mógł z powodu śmierci (1382) swego siostrzeńca, króla Ludwika Węgierskiego, który nietylko, że był przyjacielem, ale i protektorem Władysława. W kraju nastała zmiana. Śmierć króla zachwiała jego wybitnem stanowiskiem, wskutek czego stał się szkodliwym, a nawet groźnym.

Nie jest naszem zadaniem wytykać błędy polityczne, jakie broił wbrew interesom kraju, przed wstąpieniem na tron Jagiełły. Lecz gdy w roku 1386 Jagiełło tron polski objął, Władysław stał się jego sprzymierzeńcem, zachowywał się obojętnie, spokojnie, wydał nawet w małżeństwo swoją córkę Jadwigę za Wigunta, brata królewskiego, wyposażywszy ją bogatem wianem: ziemią bydgoską i dobrzyńską. Niestety, była to tylko zgoda pozorna, słomiana... Zdolny, rozumny — popędliwy, ambitny, mąż ten nie umiał powstrzymać swoich wybuchów i knowań przeciw Polsce i przeciw królowi, przez co uwikłał Polskę w zatargi i wojnę z zakonem krzyżackim...

Od roku 1382, to jest od sprowadzenia obrazu świętego z Bełska do Częstochowy, a jednocześnie od śmierci króla Ludwika Węgierskiego, Władysław, porwany wirem politycznym, zamiar budowy klasztoru O. O. Paulinów w swojem państwie, do lepszych czasów odłożył. Czasy te nastąpiły w roku 1386, to jest wówczas, kiedy Jagiełło na tron polski wstąpił. Postanowił najprzód wznieść klasztor na górze Chełmskiej pod Leśnicą; odstąpił jednak od tej myśli z przyczyny zwierzostanu, w który

Góra Chełmska (dziś góra Ś-tej Anny), w dziewiczych swoich lasach, obfitowała. Było to ulubione miejsce, w którem książęta Opolscy urządzali polowania. Szukał innej, podobnej do góry Częstochowskiej; szukał jej od granic ziemi Niemodlińskiej do Ziembickiej; — od Opawskiej do Koźlińskiej; — od Bytomskej do Oleśnickiej, niestety, bezskutecznie...

— Nie mamy gór w swojem państwie — replikował przed bratankiem swoim, Janem, biskupem poznańskim, zwanym „Kropidło“ — ale mamy pola, doliny, łąki! Na łąkach moich postawię Matce Najświętszej przybytek Pański, aby miłość jej, łaskawość i dobrotliwość, jak woń woniejących kwiatów orzeźwiały zastygłe ludzkie serca moich poddanych, — aby cześć, cuda i sława Bogarodzicy z tych oto moich zielonych dolin popłynęły ku Śnieżce, Karkołomom, do wyżyn Świdnickich, Gór Łużyckich— hen, za ziemie Morawskie, ku zachodowi.

I Władysław wybrał miejsce na łąkach, wprost swojego zamku, aby go mieć przed oczami, aby z okien komnat swoich mógł napawać się widokiem ostatniej swojej dobroczynnej fundacyi.

Ziemię osobiście odmierzył i fachowców sprowadził...

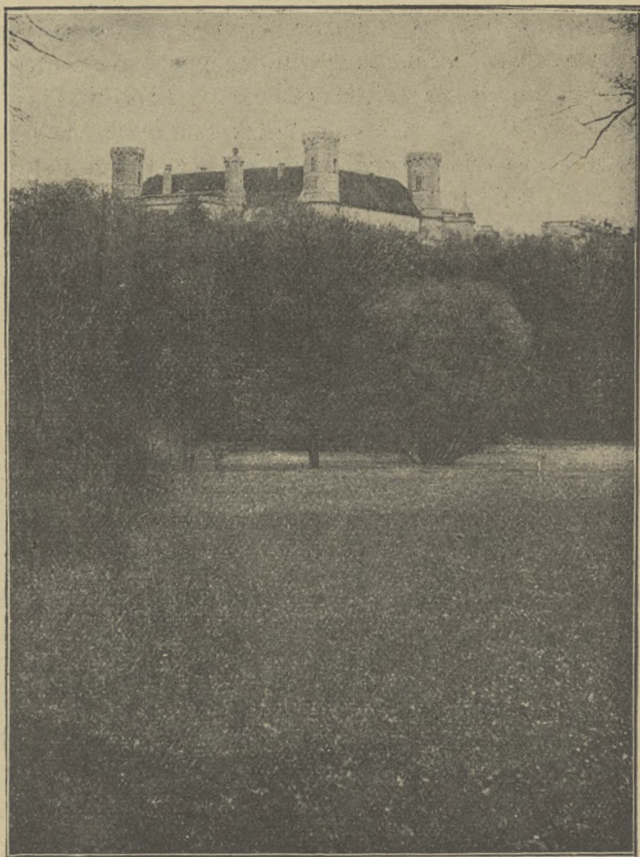
Od zaczątku, aż do ukończenia budowy, czyli od roku 1386 — 1388 wzmianki o świątyni nie znajdujemy. W r. 1388, w dzień ś. Fabiana i Sebastyana odbyła się uroczystość inauguracyjna nowo-wzniesionego klasztoru i kościoła pod wezwaniem Ś-tej Trójcy, na łąkach Lechnickich, pod Głogówkiem, wobec licznego tłumu ludu i zaproszonych panów, rycerzy szlachty i kleru ziemi Opolskiej. W tymże samym dniu przybyli z Częstochowy O. O. Paulini i przywieźli z sobą kopię wizerunku świętego Matki Boskiej Częstochowskiej, malowanego na drzewie, tej samej długości i szerokości, z blizną od strzały tatarskiej na szyi, lecz bez cięć na twarzy, albowiem twarzyczkę Matki Najświętszej dopiero po 42-ch latach, Hussyci, podczas napadu na klasztor Jasnogórski, okaleczyli.

Konsekracyi kościoła i klasztoru, a także i obrazu Świętego Matki Boskiej dopełnił Wacław, biskup Wrocławski, który w tym celu do Głogówka przybył i tamże na zamku, u księcia Władysława zagościł[1]).

---

[1]) Wacław, książę Lignicki, 22-gi biskup Wrocławski od roku 1382 — 1418. Biskup Wacław, ofiarowanej przez ówczesnego papieża, pod dniem 7. I. 1385 godności kardynalskiej nie przyjął. Zwoływał synody do Wrocławia rok rocznie od 1410 — 1415. W ostatnich latach życia wprowadzono prawo kościelne, pod nazwą: „Prawo Kościelne Wacławowskie“. Umarł w Odmuchowie dnia 30. XII. 1419, w 70-ym roku swego życia i tamże pochowany w podziemiach kolegiaty W roku 1477 przeniesiono kolegiatę wraz z ciałem biskupa Wacława, z Odmuchowa do Nisy (Schematismus des Bisthums Breslau).

Ciekawy i wielkiej doniosłości dokument historyczny przechowuje się w bibliotece ordynacyi hr. Oppersdorfów w Głogówku. Jest to akt



***Zamek hrabiego Oppersdorfa z widokiem na park i na łąki,***
wśród których w odległości około $^1/_2$ kilometra od zamku, wznosi się b. klasztor i kościół O.O. Paulinów Częstochowskich.

erekcyjny tegoż klasztoru O. O. Paulinów, skreślony w owych czasach na zamku Głogowieckim.

Czytamy tam, pomiędzy innemi co następuje:

My Władysław,

z Bożej łaski książę Opolski i Wieluński, wiadomo czynimy wszystkim i każdemu po wszystkie czasy:

„Aczkolwiek będący pod naszą troskliwą opieką zakon O. O. Paulinów Częstochowskich Świętego Pawła, pierwszego pustelnika, obdarzaliśmy zawsze łaską naszą, życzliwością i gorącą miłością — niemniej też i nadal nie przestajemy żywić w sercu naszem tej szczerej i gorącej miłości ku Panu Bogu Wszechmogącemu i Matce Jego Najświętszej, która wzbudziła w nas myśl, tenże zakon i do naszych ziem Śląskich wprowadzić. W tym celu obraliśmy miejsce do budowy kościoła i klasztoru na łąkach Lechnickich, w pobliżu naszego miasta Głogówka.

Kościół jako też i klasztor wznieśliśmy ku czci Świętej Trójcy, którą gorąco błagamy: aby nieustannie nad niemi czuwała i aby ją troskliwą opieką swoją po wieczne czasy otaczała.

Tejże posiadłości klasztornej darujemy O. O Paulinom Częstochowskim na wieczne czasy następujące wsie: Polskie Olbierzowice, Leśnicę, Wiadrowice i część wsi Mechnicy, a oprócz tego: część stawów rybnych Osobłockich i czynsz z dóbr Wojcieszkowice i Mechnicy.

Kościołem, klasztorem, i wszystkiemi majątkami mają zarządzać O. O. Paulini Częstochowscy przez wszystkie czasy, których liczba, z wyjątkiem służby klasztornej, niema przewyższać sześciu [1])".

„Dan na zamku naszym w Głogówku, w dzień Ś-go Fabiana i Sebastjana roku pańskiego 1388".

Spełniło się proroctwo Świętego Wojciecha. Góra Częstochowska zaświeciła jasnością, a cuda i sława Bogarodzicy, Bogiem sławionej Maryi z Jasnej Góry, z zadziwiającą szybkością, jak promienie słońca, rozeszły się po szerokim świecie.

(D. c. n.)



---

[1]) Ubiór eremitów Lechnickich, których oprócz przeora było zawsze czterech, składał się: z białego wełnianego habitu, kaptura i szkaplerza. Przy wychodzeniu po za klasztor nakrywali głowy kapeluszami i okrywali się białemi płaszczami z tejże samej wełnianej materyi. Nosili brody, chodzili w obuwiu, z ogoloną do skóry głową, z pozostawionym w około głowy wiankiem włosów.

# KIN-FO.

## Opowieść z życia Chińczyków.

---

### ROZDZIAŁ IV

**w którym Kin-Fo otrzymuje ważny list, z ośmiodniowem opóźnieniem.**

„Jamen“—nazywają Chińczycy rodzaj pałacu, ogrodzonego murem, w jakich zwykli mieszkać wysocy dygnitarze państwowi. Jednak prawo nie zabrania budować takich pałaców ludziom bogatym, których stać na to; „jamen“ mandaryński odznacza się tylko od mieszkań prywatnych bębnem, zawieszonym nad główną bramą, w który uderzają przychodzący po radę lub wymiar sprawiedliwości obywatele.

Przed pałacem Kin-Fo, zamiast bębna, stały dzień i noc wielkie, porcelanowe wazy z zimną herbatą, którą każdy z przechodniów mógł się bezpłatnie pokrzepić.

Należało to do dobrego tonu, świadczyło bowiem o zamożności domu, oraz jednało hojnemu gospodarzowi życzliwych, wśród ubogich warstw ludności.

Na przywitanie pana wybiegła cała służba, jak: lokaje, kamerdyner, kucharze, posługacze, kulisi, wszystko to pochylało głowy i ustawiało się w szpaler.

Tylko około tuzina ludzi przeznaczonych do niższych posług trzymało się skromnie na uboczu.

Na uniżone powitanie kamerdynera, Kin-Fo odpowiadał tylko lekkiem skinieniem głowy i szybko wszedł do przedsionka.

— Sun! — zawołał krótko.

— Sun! — odrzekł, śmiejąc się Wang, — gdyby był na zawołanie, nie byłby Sunem!..

— Gdzie jest Sun? — powtórzył Kin-Fo.

Nikt nie jest w stanie na to odpowiedzieć, kamerdyner oświadcza, że nie wie, gdzieby się mógł podziać.

Sun był ulubionym służącym Kin-Fo, bez którego ten ostatni, ani na minutę nie mógł się obejść.

— A więc, — może zapyta ktoś z czytelników, — jest to zapewne wzór służącego?

Bynajmniej.

żaden ze służących nie spełniał tak opieszale swoich obowiązków. Roztrzepany, niezgrabny w słowie i w czynie, do najwyższego stopnia łakomy, dwadzieścia razy dziennie dawał powód do łajania i karania go; mimo to Kin-Fo lubił go i od siebie nie oddalał.

Sun zresztą nigdy nie uchylał się od zasłużonej kary, którą Kin-Fo wymierzał mu zwykle grubą trzciną hiszpańską, owszem zwyczajem służących chińskich, przeskrobawszy coś, sam się o nią dopominał.

Tylko jednej kary Sun się obawiał.

Wiadomo, jak dużą wagę przywiązują Chińczycy do swych warkoczy. Długi, gruby i starannie utrzymany warkocz, jest nie tylko ozdobą, ale i niejako świadectwem osobistej godności. Pierwszą karą, jaka spotyka przestępcę, jest obcięcie warkocza, co równa się niemal utracie czci.

Otóż Kin-Fo, nie mogąc sobie w żaden sposób dać rady z nieposłusznym sługą, za każde poważniejsze przewinienie skracał mu warkocz.

Dla Suna równało się to najstraszniejszej karze, jaka go tylko spotkać mogła.

Przed czterema laty, gdy wstępował na służbę do swego obecnego pana, warkocz jego miał metr i ćwierć długości. Obecnie pozostała już tylko połowa, jakieś marne 57 centymetrów, czyli, że za jakie dwa, trzy lata, Sun pozostanie z zupełnie gołą głową, unieszczęśliwiony na kilkanaście lat życia.

— Odnaleźć mi Suna i przyprowadzić tutaj natychmiast! — wysłał rozkaz Kin-Fo, przechodząc do dalszych pokoi.

Służba wybiegła; Kin-Fo i Wang zostali sami.

— Mądrość poucza, że podróżny, powróciwszy do domu, powinien trochę odpocząć — rzekł filozof.

— Więc bądźmy mądrymi, — odrzekł uczeń, ściskając mu lekko rękę na pożegnanie, poczem każdy udał się do swojej sypialni.

Wreszcie Kin-Fo mógł się wyciągnąć na własnej, miękkiej otomanie i pozostać ze swemi myślami.

Choć kilkodniowa przejażdżka nie zmęczyła go ani trochę, rad był jednak temu, że dostał się z powrotem do domu.

Tęsknił trochę za wiadomościami od ukochanej narzeczonej, z którą miał się za kilka tygodni na całe życie połączyć, chciał już zabrać się jaknajprędzej do przygotowań, aby ta uroczystość wypadła możliwie świetnie i okazale, chciał przygotować mieszkanie, aby śliczna, jak wiosna, Le-U czuła się możliwie najszczęśliwszą.

Le-U była młodą, piękną wdówką i stale zamieszkiwała w Pekinie, gdzie po mężu odziedziczyła skromny majątek. Kin-Fo poznał ją w czasie jednej ze swych częstych do stolicy wycieczek, — poznał, pokochał i wreszcie uzyskał wzajemność, a nawet zgodę na wspólną dalszą życiową wędrówkę.

Niewiadomo czego się znudzony dobrobytem Kin-Fo od dalszego życia spodziewał, to pewno jednak, że Le-U kochał szczerze i przypuszczał, że ona jedna może jeszcze wszystko na lepsze odmienić. Le-U oprócz niezwykłej piękności posiadała i wdzięk dziecięcy niemal, i rozum i inteligencyę, którą nawet uczony Wang wysoko cenił i podnosił. Kin-Fo miał już dosyć czasu na poznanie dodatnich stron swojej narzeczonej i cieszył się, że wszystkie te ludzkie skarby do niego niepodzielnie należeć będą, choć obecnie czuł się nieco zaniepokojony słowami, które filozof przy kolacyi w Kantanie wypowiedział.

— Czyżby istotnie szczęścia dlań nie było na ziemi, czyżby i nieszczęścia zabrakło? — myślał.

Ukołysany własnemi myślami zaczynał już drzemać, gdy poczuł, że coś załaskotało go lekko po dłoni.

Odruchowo ścisnąwszy rękę poczuł w niej wypolerowaną rączkę trzciny, jednocześnie do uszu jego dobiegły słowa:

— Czego sobie pan mój życzy?

Kin-Fo uniósł się lekko, nie wypuszczając trzciny z ręki.

Przed nim ze spuszczoną pokornie głową, z plecami gotowemi do przyjęcia kary, stał Sun.

Jedną ręką opierał się o dywan zaściełający podłogę, w drugiej trzymał zapieczętowany list.

— A ty gdzieś się podziewał, hultaju!? — groźnie zapytał Kin-Fo.

— Aj, aj! — zajęczał Sun, — myślałem, że pan dopiero za dwa tygodnie powróci... — Czego pan sobie życzy?

Kin-Fo rzucił trzcinę na ziemię.

Sun choć z natury był żółty, teraz zżółkł jeszcze bardziej.

— Jeżeli bez tłómaczenia się nadstawiasz plecy, pewno musiałeś coś więcej przeskrobać.

— Mów co się stało? — pytał Kin-Fo.

— Tutaj — list, panie!...

— Mów wyraźniej, kpie jakiś! — zawołał zniecierpliwiony Kin-Fo, odbierając kopertę.

— Byłem taki roztrzepany, panie, że zapomniałem oddać panu tego listu przed wyjazdem do Kantonu...

— I od ośmiu dni nosisz go przy sobie?!

— Tak, panie, zasłużyłem na karę, winny jestem...

— Chodź tu!

— Jestem, jak biedny krab bez nóg, który ruszyć się nie może!... Aj, aj!!... — jęczał biedny Sun.

Ostatnie okrzyki zwłaszcza brzmiały rozpaczliwie, Kin-Fo zdołał już bowiem schwycić nieuważnego sługę za warkocz i ostremi nożyczkami obciął mu długi kawałek, tej niezrównanej męzkiej ozdoby.

Nogi „biednemu krabowi“ wyrosły nagle, jakby cudem, bo skoczył, jak zając i z wrzaskiem wyleciał z pokoju.

Kin-Fo położył się z powrotem na kanapie.

Ostatecznie co go mógł jakiś list, choćby z ośmiodniowem opóźnieniem obchodzić? Czy mógł przynieść mu coś tak ważnego, aby to mogło wytrącić go z nudnej jednostajności?

Amerykańska marka i stemple pocztowe mówiły aż nazbyt wyraźnie o treści.

List był z San-Francisko i niewątpliwie od przedstawiciela jego firmy.

Kin-Fo pogardliwie rzucił list na podłogę, nie otwierając go nawet. Wiadomość o kilku tysiącach straty lub zysku nie mogła go w tej chwili ani trochę obchodzić.

Oko jego padło na czarny, lakierowany stoliczek, na którym stał gramofon, a obok niego, płaskie, zapieczętowane pudełko, którego dotąd nie zauważył.

Był to ostatni list od Le-U.

Kin-Fo wstał spiesznie, odpieczętował paczkę i wyjąwszy okrągłą kauczukową płytkę, ostrożnie założył na aparat.

Był to ich zwykły sposób korespondencyi.

Nacisnął sprężynę i po chwili usłyszał co następuje:

„Ukochany mój, drogi, starszy Braciszku! Czy nie jestem już twoim kwiatem skąpanym w świetle księżyca, czy nie jestem już mimozą, kwiatem twej duszy? Ty — serce moje najukochańsze, pozdrawiam Cię tysiąc razy, dziesięć razy po tysiąc!...

Kin-Fo uśmiechnął się, zamknął płytkę do biurka i z powrotem rzucił się na kanapę.

— Poczciwa dobra Le-U! — myślał zadowolony.

Tymczasem wzrok jego padł ponownie na list, leżący na podłodze. Tym razem podniósł go i otworzył.

Nie mylił się, był od dyrektora firmy.

Chciał go znów odłożyć na bok, ale jeden wyraz, wyraźniej od innych napisany, zastanowił go.

Zauważył wyraz: „nieszczęście".

Z pewną ciekawością zaczął przeglądać list i w miarę czytania brwi marszczyły mu się na czole, jak chmury, wstał z kanapy, złożył list, po chwili przeczytał raz jeszcze uważniej i pokręcił głową.

— Hm, hm! — mruknął przeciągle z niezwykłym u niego niepokojem w głosie.

Stał chwilę, nie wiedząc co robić, wreszcie podszedł do telefonu, którym była połączona jego sypialnia z mieszkaniem Wanga.

Już chciał ująć za korbę i zadzwonić, ale zatrzymał się, uśmiechnął pogardliwie, machnął ręką i znowu zaczął chodzić po pokoju.

Wiadomość musiała być istotnie niezwykłą, bo Kin-Fo okazywał podniecenie niebywałe.

Giestykulował rękami, mruczał, zastanawiał się nad czemś, wreszcie prawie głośno zawołał:

— Tu o nią mi przedewszystkiem chodzi, reszta głupstwo...

Z godzinę krążył Kin-Fo po pokoju, wreszcie siadł przy biurku i pisał:

„Ukochana moja siostrzyczko!

Nieszczęśliwy traf pozbawił mię całego majątku. Nie chcę, abyś ze mną cierpiała niedostatek, bo wtedy moje nieszczęście byłoby prawdziwem nieszczęściem.

Zapomnij i przebacz!

Twój zrozpaczony

*Kin-Fo*".

---

## ROZDZIAŁ V

### w którym poznajemy się z bardzo ciekawem towarzystwem „Stuletnich".

Następnego dnia opuszczał Kin-Fo zwykłym obojętnym krokiem mieszkanie. Przeszedłszy ulicę wzdłuż wybrzeża, przez drewniany most na rzece, oddzielającej kolonię angielską od amerykańskiej, znalazł się przed domem, na którym widniał olbrzymi szyld ze złotym napisem:

*„Stuletni“*

Towarzystwo ubezpieczeń na życie i od ognia. Kapitał zakładowy 20 milionów dolarów.

Agent jeneralny *Wiliam J. Bidulf.*

Kin-Fo otworzył drzwi, za któremi znajdowały się jeszcze jedne, wybite grubym wojłokiem, i po chwili znalazł się w obszernym biurowym pokoju.

Kilka olbrzymich stołów i szaf zasłanych stosami aktów, ksiąg, papierów, wielka kasa ogniotrwała, parę foteli i krzeseł stanowiło całkowite umeblowanie.

Przy największym i najwygodniej urządzonym stole siedział sam czcigodny przedstawiciel firmy pan Wiliam J. Bidulf, pilnie zajęty korespondencyą.

Agentura ubezpieczeniowa „Stuletni“, ciesząca się zasłużonem powodzeniem w rodzinnej Ameryce, posiadała przedstawicielstwo we wszystkich częściach świata, tak, że nawet i w zachowawczych Chinach nie brakło klijentów.

— Pan Bidulf? — zapytał Kin-Fo.

Wiliam J. Bidulf zerwał się gotowy do usług.

Był to mężczyzna czterdziestoletni, w nieskazitelnem czarnem ubraniu, w białym, dobrze zawiązanym krawacie, — Amerykanin od stóp do głowy.

— Z kim mam honor? — zapytał Wiliam J. Bidulf.

— Moje nazwisko — Kin - Fo z Szanghaju.

— A, pan Kin-Fo, jeden z naszych klijentów, numer 27,200...

— Tak jest.

— Będzie mi nad wyraz miło służyć panu czemkolwiek.

— Pragnąłbym z panem w cztery oczy pomówić! — odrzekł Kin-Fo.

Rozmowa płynęła gładko, ponieważ Wiliam J. Bidulf tak dobrze władał chińskim, jak Kin-Fo angielskim.

Bogaty klijent został poproszony do sąsiedniego gabinetu wybitego grubem suknem przez które najwytrawniejsze ucho nie dosłyszałoby ani słowa.

— Proszę pana, — zaczął Kin-Fo, gdy obaj usadowili się w wygodnych, biegunowych fotelach, pragnąłbym porozumieć się z towarzystwem, aby na wypadek mej śmierci wypłacono ubezpieczeniową sumę, o której zaraz pomówię, stosownie do mojego rozporządzenia.

— Nic łatwiejszego! — drzekł Wiliam J. Bidulf — dwa podpisy, pański i mój, i ubezpieczenie po załatwieniu paru drobnych formalności — gotowe...

— Tylko jedno maleńkie pytanie... Pan życzy sobie umrzeć w bardzo podeszłym wieku, nieprawdaż?... To zresztą przecież zupełnie naturalne zupełnie.

— Dlaczego? — zapytał Kin-Fo. Wszak zwykle ubezpieczają się ludzie, obawiający się blizkiej śmierci...

— O, proszę pana, — odrzekł Wiliam J. Bidulf zupełnie poważnie, — taka obawa wśród klijentów T-wa „Stuletnich" jest zupełnie wykluczona. O tem u nas absolutnie nie może być mowy! Przepraszam szanownego pana, ale nasi klijenci umierają bardzo rzadko przed skończeniem stu lat życia... bardzo... rzadko! I właśnie dla tej przyczyny Towarzystwo nasze cieszy się takiem niewykłem powodzeniem...

— Tak? — zauważył Kin-Fo, mierząc czcigodnego przedstawiciela firmy zimnym wzrokiem.

Ale generalny agent, mówiący poważnie i przekonywająco, jak minister, wcale nie wyglądał na żartującego.

— Od dzisiejszego dnia chciałbym się ubezpieczyć na 200,000 dolarów... — ciągnął dalej Kin-Fo.

— Doskonale! Powiedzmy tedy, na kapitał 200,000 dolarów! — powtórzył spokojnie Wiliam J. Bidolf, notując cyfry w notatniku.

— Panu wiadomo zapewne, że tak asekuracya, jak i płacone raty przepadają, o ile zabezpieczony członek ginie śmiercią nie przewidzianą w umowie? — zapytał.

— Wiem o tem, — odrzekł Kin-Fo.

— I jakie wypadki chce pan zabezpieczyć?

— Wszystkie.

— I wypadków w podróżach po ziemi lub wodzie, lub w czasie pobytu za granicami kraju?

— Również.

— I wypadek sądowej kary śmierci?

— Zapewne.

— I pojedynek?

— Także.

— Służba wojskowa, wojna?

— Również.

— W takim razie wpłaty miesięczne wyniosą sporo.

— Może być, zapłacę je.

— Dobrze, jak sobie pan życzy.

— Ale, — zaczął Kin-Fo — jest jeszcze jeden wypadek, którego pan nie przewidziałeś.

— Jaki?

— Samobójstwo; sądzę, że statuty T-wa „Stuletnich“ przewidują i taką okoliczność.

— Ależ naturalnie, proszę pana, przewidują, — odrzekł Wiliam J. Bidulf, zacierając ręce. — Jest to nawet nasze główne źródło dochodu! Pan pojmuje, że nasi klienci są przeważnie ludźmi, którym zależy na życiu......

— Jest mi to obojętne, — przerwał Kin-Fo. — Z rozmaitych powodów osobistych chcę się zabezpieczyć i od tego wypadku.

— Wybornie; ale w takim razie rata pójdzie znacznie wyżej w górę.

— Powtarzam panu, że zapłacę wszystko, ile Towarzystwo ode mnie zażąda.

— Doskonale. Powiedzmy więc, wypadki na lądzie i na morzu, wojna, samobójstwo...

— Ile? — zapytał Kin-Fo.

— W jakim pan jest wieku?

— Mam lat 31.

W pańskim wieku inne Towarzystwa policzyłyby ubezpieczenie drożej, o, znacznie drożej..... — poważnie zapewniał generalny przedstawiciel, — ale w Towarzystwie „Stuletnich“ będzie to pana kosztować tylko 25 procent sumy asekuracyjnej.

— Więc?

— 50 tysięcy dolarów rocznie.

— W jaki sposób trzeba tę sumę wypłacać?

— Albo jednorazowo, albo miesięcznie, stosownie do życzenia.

— Ile jestem tedy winien Towarzystwu za dwa pierwsze miesiące?

— 8332 dolary, czyli, ponieważ dziś mamy dzień 30-ty kwietnia, asekuracya byłaby opłacona do końca czerwca.

— Bardzo dobrze, proszę pana! — odrzekł Kin-Fo krótko i sucho. — Tu oto jest rata za dwa pierwsze miesiące!

Mówiąc to, wyjął z kieszeni pugilares i zaczął wykładać banknoty na stół.

— Dobrze, bardzo dobrze! — odrzekł Wiliam J. Bidulf. Do podpisania dokumentów potrzeba tylko jeszcze jednej drobnej formalności.

— Mianowicie?

— Będzie pan mieć wizytę naszego lekarza Towarzystwa.

— A to po co?

— Aby się przekonać o stanie pańskiego zdrowia; musimy wiedzieć, czy pan nie posiada jakiej wady. Szacowne dla nas zdrowie pańskie mogło się uszkodzić...

— Tego nie rozumiem... jeżeli się ubezpieczam i przeciw pojedynkom i przeciw samobójstwu — zauważył Kin-Fo.

— O, proszę pana, — odrzekł Wiliam J. Bidulf, wciąż z jednakowym uśmiechem, — jeżeli pan posiada zarodek jakiejś niebezpiecznej choroby, która pana strawi, to my zapłacimy 200,000 dolarów!

— Zdaje mi się, że moje samobójstwo również tyle może was kosztować.

— Panie szanowny, — odrzekł agent uprzejmie, ściskając Kin-Fo za rękę, — miałem zaszczyt już mu powiedzieć, że wielu z pośród naszych klientów zabezpieczało się od wypadku samobójstwa, ale ani jeden z nich jeszcze nie podniósł na siebie ręki. Zresztą nikt nam nie zabroni pilnować pana, naturalnie z największą ostrożnością.

— Ach, tak? — wtrącił Kin-Fo.

— Dodam panu i to jeszcze, że z pośród wszystkich klientów, którzy się w naszem Towarzystwie ubezpieczyli, „Samobójcy“ najdłużej płacą raty. Zresztą ciekawym bardzo, dlaczego piękny i tak bogaty człowiek jak pan, miałby się zabijać?

— A ja ciekawym bardzo, poco by się taki młody, piękny i bogaty człowiek, jak pan powiada, miał wogóle ubezpieczać? — zapytał Kiu-Fo.

— Bardzo proste, — wyjaśnił Wiliam J. Bidulf, — aby posiadać pewność długiego, bardzo długiego życia, jak zresztą wszyscy klienci „„Stuletnich“.

Z generalnym agentem słynnego Towarzystwa wprost nie można się było sprzeczać, tak bowiem uparcie i niezachwianie stał na swoim stanowisku.

— A na kogo pan życzyłby sobie ubezpieczoną sumę zapisać, kogo pan wyznacza jako spadkobiercę? — zapytał jeszcze Bidulf.

— Będą nimi dwie osoby — odrzekł Kin-Fo.

— Czy otrzymają po połowie sumy?

— Nie, jedna otrzyma część, druga trzy.

— Więc 50 tysięcy dolarów otrzyma.....

— Wang.

— Filozof Wang?

— Ten sam.

— A resztę?

— Pani Le-U w Pekinie.

— W Pekinie, — powtórzył Wiliam J. Bidulf, zapisując nazwiska do notatnika.

— Ile ma lat pani Le-U? — zapytał.

— Dwiadzieścia jeden.

— O, jeszcze młoda dama!

— W każdym razie nie prędko pieniędzmi cieszyć się będzie.....

— A to dlaczego, jeśli wolno się spytać?

— Ponieważ pan pożyje jeszcze z 70 lat.

— W jakim wieku jest pan Wang?

— Pięćdziesiąt pięć.

— No, ten dobry człowiek nie powinien mieć żadnych nadziei! — rzekł Bidulf, z zadowoleniem zacierając ręce.

— Zobaczymy! — przerwał Kin-Fo.

— Ach, panie, jeżeli ten mąż w 55-ym roku życia spodziewa się spadku po panu, to jeszcze i ja mogę się spodziewać czegoś z tych 200,000.

— Sługa pański! — rzekł Kin-Fo, żegnając się pospiesznie, by przerwać tę rozmowę, która już mu zaczęła dokuczać.

— Padam do nóżek! — odrzekł Wiliam J. Bidulf, schylając czoło przed najnowszym klientem Towarzystwa „Stuletnich".

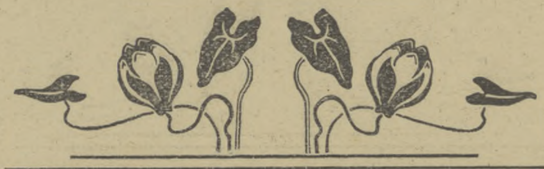
Następnego dnia odwiedził Kin-Fo lekarz Towarzystwa. Uważnie obejrzał go, opukał, a ostateczna dyagnoza brzmiała: „Tułów żelazny, muskuły jak ze stali, płuca jak miechy kowalskie."

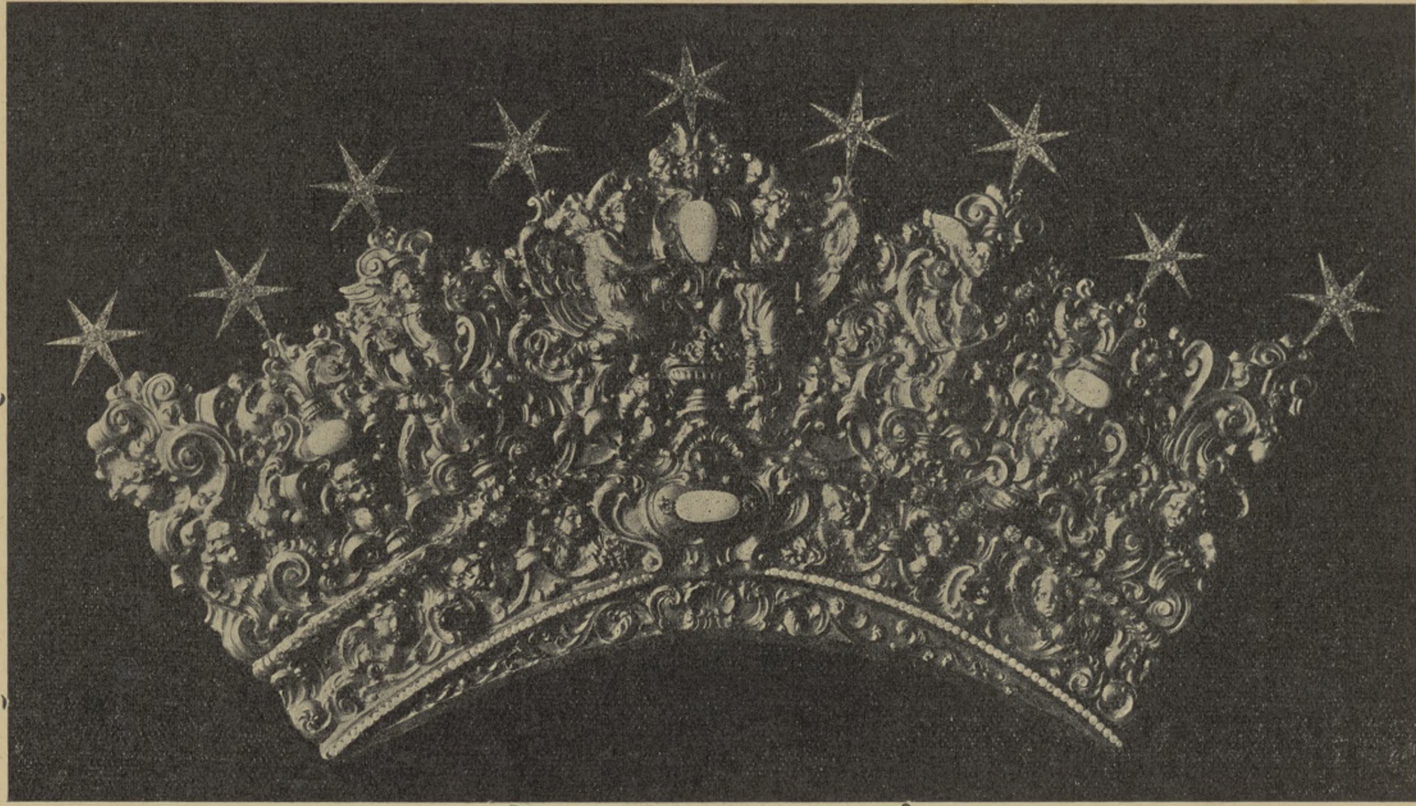
Nie było przeszkód żadnych.

Kin-Fo wypłacił ratę, podpisano umowę i testament zabezpieczono.

Rozumie się, że o tym kroku Kin-Fo nikt nic nie wiedział. Wang i Le-U dowiedzą się dopiero, gdy Kin-Fo już na ziemi zabraknie.

(D. c. n.)





Nowa korona do obrazu Matki Boskiej na Jasnej Górze w Częstochowie, wspaniały dar Ojca Świętego Piusa X.



**Nowa korona dla Dzieciątka Jezus, do Cudownego Obrazu Matki Boskiej na Jasnej Górze w Częstochowie, wspaniały dar Ojca Świętego Piusa X.**

Podobiznę fotograficzną tych koron najłaskawiej raczył nadesłać, dla „Dzwonka Częstochowskiego“, J. E. ks. Arcybiskup Albin Symon, przebywający w Rzymie, gdzie w pracowniach watykańskich ten wspaniały dar, dla Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, został wykonany i drogimi kamieniami ozdobiony. Najdobrotliwszy Ojciec Święty Pius X, Namiestnik Chrystusa Pana na ziemi i Głowa Kościoła Rzymsko-Katolickiego, osobiście doglądał prace przy wykonaniu tych koron.




**Nowa parafia.** Dnia 27-go z. m. w Częstochowie odbyła się uroczystość otwarcia nowej parafii w Rakowie. Z chwilą, gdy stanęła huta żelazna „Raków“, pod Częstochową, a przy niej znalazła się niebawem cała kolonia mieszkańców, odczuwać się dawała potrzeba opieki religijno-moralnej nad kilkotysięczną ludnością tej nowej osady, oddalonej znaczną przestrzenią od kościoła parafialnego św. Zygmunta w Częstochowie. W skład parafii rakowskiej wchodzą nadto wsie: Błeszno, Bugaj i Dąbie, odłączone od parafii ś-go Zygmunta, oraz wieś Kręciwilk, należąca dotychczas do par. w Poczesny.

**O szkółki polskie.** Mieszkańcy Słucka (gub. Mińska) byli niedawno przez trzy dni świadkami niebywałego widowiska, którego owocem jest ogólne przygnębienie.

Przez trzy dni sąd okręgowy miński, bez udziału przysięgłych, rozpatrywał sprawy o szkółki polskie i katolicką propagandę. Na ławie oskarżonych zasiedli wszyscy niemal księża dekanatu słuckiego. Codzień sądzono około 15 spraw, każda sprawa trwała po za załatwieniem formalności, minut 3 — 5. Przewodniczył Rusanow, znany ze swojej nienawiści do wszystkiego co polskie i katolickie.

Literalnie wszyscy, którzy ośmielili się uczyć pacierza i elementarza, zostali skazani na grzywny. Notują parę spraw więcej godnych uwagi ogółu.

Księdza dziekana, proboszcza nieświeskiego, Siekluckiego, skazano na 300 rb. kary i pozbawienie prawa pełnienia obowiązków przez sześć miesięcy za to, że dał ślub rzekomo prawosławnemu z katoliczką

bez zezwolenia władzy. Należy zaznaczyć, że podanie do gubernatora zrobiono w terminie określonym, niedołączono tylko dwóch marek, co jest kwestyą sporną. Czas wymagany przez prawo upłynął — wszystko zdawało się w porządku — Rusanow inny miał pogląd, nie pozwalał nawet tłómaczyć się.

P. Okołow z Rymic za rzekome przerobienie „czasowni" prawosławnej na kaplicę katolicką, skazano na rb. 300 kary.

Nie uwzględniono, że w podziemiach kaplicy mieszczą się groby rodzinne. Kaplica stoi na cmentarzu. Przed paru laty uniewinniono p. Okołowa za pokrycie tej kaplicy. Denuncyacya chłopa, że jakoby niegdyś tam była „ikona" prawosławna i że ją wyrzucił p. Okołow, były przyczyną, iż kaplicę przekazano duchowieństwu prawosławnemu.

Pewnego chłopka, za nauczanie katolicyzmu skazano na 50 rubli grzywny.

Charakterystyczne było tłómaczenie chłopaka Zajczyka i jakiejś dziewczyny, których skazano na grzywny po rb. 5. Zajczyk na indagacyę Rusowa powiada, że on był parobkiem, codzień szedł do robót gospodarczych, tylko rano i wieczór odmawiał wspólną modlitwę i uczył ich „cztyre elementarze" (?!). Kiedy dziewczynie zarzucono, dla czego nie poszła na służbę i czy umie gotować, szyć i t. d. i dlaczego ona tego nie robi — odpowiedziała, że za nią wszystko to robią w domu sąsiadki, a ona za to uczy dzieci czytać na książkach do nabożeństwa i to nadal robić będzie.

**Żydzi i religia.** Gazeta „Jewrejskij Mir" donosi o całym szeregu faktów, świadczących, z jaką łatwością ucząca się młodzież żydowska zmienia religię. W Ekaterynosławiu 8 żydów, którzy skończyli w roku zeszłym gimnazyum, przeszło na prawosławie. W Mińsku odbył się wiec wszystkich żydów, kończących zakłady naukowe, na którym rozstrzygano sprawę zmiany religii. Na wiecu byli obecni i ludzie starsi. Postanowiono, że zmiana religii jest rzeczą dozwoloną i że każdy żyd może przechodzić na wyznanie chrześcijańskie. W Irkucku poszło nawet bez narad; przeszkodą był tylko brak duchownego protestanckiego, gdyż tamtejsza młodzież żydowska postanowiła przejść na protestantyzm. Kiedy do miasta zajechał wypadkowo jakiś niemiecki pastor, kilkunastu młodych żydów zgłosiło się zaraz do niego i w ciągu godziny pastor przyjął wszystkich na protestantyzm.

Gazeta donosi również, że i w Łodzi można zauważyć silny ruch wśród uczącej się młodzieży żydowskiej w kierunku zmiany wyznania. Dwaj misyonarze, żydzi z pochodzenia, członkowie anglikańskiego związ-

ku misyonarzy, którzy przyjechali do Łodzi w celu nawracania żydów na wyznanie anglikańskie, mają podobno takie powodzenie, że postanowili założyć tam filię związku.

**Wykłady w języku polskim.** Polacy w Amryce Północnej nietylko w szkołach parafialnych, które utrzymują własnym kosztem, uczą języka polskiego, ale i w szkołach średnich OO. Zmartwyhwstańców w Chicago. Dwóch profesorów-Polaków wykłada w niemiecko-angielskiem seminaryum duchownem w St. Francis, a niedawno, z początkiem roku szkolnego 1909/10, uzyskali nowy posterunek dla obrony polskiego języka na uniwersytecie Notre-Dame.

Uniwersytet ten uchodzi za największy i najlepszy, a prowadzony jest przez OO. Zgromadzenia św. Krzyża. Licznie też garną się do niego studenci, których liczba dochodzi do 1000. Języka polskiego dotychczas na nim nie wykładano, gdyż niewiele uczęszczało do niego młodzieży polskiej; dopiero w ostatnich 2 latach liczba ich wzrosła (obecnie wynosi przeszło 50 studentów). Za staraniem Polaków zaprowadzono dla nich kurs języka, literatury i historyi polskiej. Na profesora tych przedmiotów przeznaczono ks. Mieczysława Szalewskiego, należącego również do Zgromadzenia św. Krzyża.

**Polacy i Rusini w Kanadzie.** Katolicka kolonia polska w Calgary (prowincya Alberta) jest dość liczna, a składa się przewżnie z robotników. Żyją oni w kółku własnem, utrzymując stosunki przyjazne tylko z Rusinami-katolikami, których uważają za braci. Gorąca miłość kościoła i ojczyzny cechuje tę grupę. Rodzice nie szczędzą zabiegów, by dać dzieciom wychowanie katolickie i zabezpieczyć je przciwko wszelkim wpływom antikościelnym i antipolskim. Dzieci uczęszczają tylko do szkoły katolickiej; rodzice uważaliby sobie za hańbę posyłać je do innych szkół.

Zarówno Polakom jak Rusinom w Calgary brak kapłanów — rodaków, co, zwłaszcza przy ich nieznajomości języka angielskiego, dotkliwie odczuwać się daje.

O. Demers, który jakkolwiek jest Anglikiem, cieszy się jdnak wielkim wpływem wśród kolonistów Słowian, założył szkołę wieczorną dla Polaków i Rusinów, gdzie trzech nauczycieli uczy ich języka angielskiego i kształci w przystępnych pogadankach.

Dzięki staraniom tego zacnego kapłana, odbyła się tu misya polska. Misyonarz, Polak, O. Paweł Kulawy, odprawił uroczystą mszę, wygłosił kazanie po polsku i wyspowiadał wszystkich. Było to prawdziwe święto

dla biedaków. Śpiewali religijne pieśni polskie, uczestniczyli w nieszporach, a następnie O. Paweł odwiedził rodziny, egzaminując dzieci z katechizmu.

Kolonia polska w Kanadzie liczy lat blisko 100. Polacy przybyli tu bowiem w 1811 r. w gronie tych, co przyjechali z lordem Selkirkiem, który pierwszy dał impuls emigracyi do Kanady. — Pierwszy kodeks i kontrakt, zawierający przepisy i prawa, a jakie nadali sobie pierwsi koloniści w Kanadzie, podpisali, obok nazwisk angielskich, francuskich i szkockich, także Polacy: Wawrzyniec Kwilecki, Michał Bendowicz, Jan Wasilewski, Andrzej Jankowski i Wojciech Lassota.

* * *

Rusini-katolicy w Kanadzie zmuszeni są prowadzić cięższą walkę w obronie wiary swojej i często patrzeć muszą, jak kościoły ich i kaplice zagarniają innowiercy i protestanci. Dwa dzienniki rusińskie w Manitoba: „Kanadyjski Farmer" i „Ranok" szerzą ohydne potwarze i kłamstwa o katolicyzmie, zniechęcając czytelników do Kościoła. Pewien komitet rusiński w Filadelfii, zasłaniając się zmyśloną aprobatą biskupa Ortyńskiego, prowadzi takąż samą propagandę pod pretekstem ratowania Rusinów przeciwko „sidłom, jakie na nich zastawiają emigranci-Polacy".

Dzięki tym uplanowanym wysiłkom innowierców, wielu Rusinów wyrzekło się katolicyzmu, zaledwie 6,000 pozostało przy Kościele i liczba ich zmniejsza się stale.

Istną plagą tutejszych stosunków są też księża-apostaci lub po prostu szalbierze, udający kapłanów, których popierają protestanci, zwłaszcza prezbyteryanie.

**Stosunki w kopalniach amerykańskich.** Z powodu aż nadto częstych katastrof, nawiedzających kopalnie, zwłaszcza węgli, w Stanach Zjednoczonych, wychodząca w Chicago „Zgoda" pisze: „W kopalniach brak najpierwotniejszych środków bezpieczeństwa. Inspektorowie istnieją na to, aby od stanu brać pensyę, a od właścicieli kopalń... łapówki. Więc też zamykają oczy na wszelkie braki, panujące w lochach podziemnych. Z drugiej strony prawo tu również jest powolnem narzędziem w rękach kapitalistów, których słabo albo wcale nie ściga za lekceważenie życia ludzkiego. Wynagrodzenia po zabitych pracownikach w rzadkich przypadkach są wypłacane. I to w takich sumach, że lepiej je wypłacać, niż łożyć pięć razy więcej na zaprowadzenie ulepszeń w kopalniach. W takich warunkach o katastrofy nietrudno i robotnik, idący do pracy, z góry wie, że ryzykuje swoje zdrowie i życie, bez nadziei, że rodzina jego znajdzie

opiekę w razie jego śmierci. Pracodawca lekceważy sobie życie tych, którzy krwawą pracą utrzymują go i pomnażają jego bogactwa. Ale ponieważ w kopalniach pracują przeważnie cudzoziemcy: polacy, słowacy, węgrzy, czesi, włosi i t. p., przeto dorobkiewicze amerykańscy nie dbają o nich, wiedząc, że im tych sił roboczych nigdy nie zabraknie. Takie same stosunki panują w fabrykach, na kolejach i wszędzie, gdzie tylko dłoń robotnika tworzy skarby dla niewdzięcznych, zbrodniczo niedbałych jednostek".

**Handel niewolnikami w Konstantynopolu.** Aleksander Powell, były konsul Stanów Zjednoczonych w państwie Ottomańskiem za Abdul Hamida, ogłosił w „Everybody's Magazine" ciekawe szczegóły o wstrętnym handlu niewolnikami, prowadzonym na szeroką skalę w Turcyi.

Niewolnictwo istnieje dotychczas zarówno w pałacu sułtana, jak w najlichszej wiosce państwa — mówi były dyplomata amerykański. — By pozornie uczynić zadość „przesądowi" Europy, tak zowią Turcy zakaz handlu ludzkim towarem), zniesiono tu handel publiczny, lecz skoncentrowano go w jaskiniach, o których rząd krajowy zda się nie wiedzieć, które jednak aż nadto dobrze są znane osobom zainteresowanym.

By położyć koniec tej zbrodni, Europa nie przestaje wysyłać do Porty not dyplomatycznych. Anglia pełni wartę na morzu Czerwonem, a Rosya — na Czarnem; mimo to jednak nie upływa tygodnia, by nowe ładunki ludzkiego towaru nie przybyły do Konstantynopola, Smyrny i Trebizondy.

Murzynów i murzynki sprowadzają z Sudanu; niewolników białych — przeważnie z Armenii, Kaukazu, Ameryki i greckiego Archipelagu.

Handel prowadzi się przeważnie zimową porą. Ładunki młodych branek, zakupionych za kilka „srebrników", umieszczane są, jak śledzie w beczce, na spodzie wązkich statków, niby wiozących bydło.

**Dziedzictwo pijaka.** W mieście B. pijak pewien przed kilku laty opuścił swą rodzinę i ulotnił się niewiadomo dokąd. Oto jaką pozostawił rodzinę społeczeństwu: 3 dzieci, zmarłych przy urodzeniu, 2 dzieci, które zmarły mając 1 i pół roku; wśród dzieci zaś żyjących 1 dziecko chore na gruźlicę, 1 miewa kurcze, 1 jest skrofuliczne w najwyższym stopniu, 1 rozwija się bardzo powoli. Suma wsparć i zapomóg, wypłacanych tej rodzinie przez gminę i stowarzyszenia dobroczynności, w przeciągu 9 lat, wynosi 4800 mk. Najmłodsze dziecko

liczy zaś dopiero 7 lat. Ile to u nas jest takich chorych i zwyrodniałych ofiar pijaństwa, będących ciężarem gminy, która musi je utrzymywać!

A przyczyna złego? Pijaństwo.



**Z Ameryki.** Na stałym lądzie, w Stanach Zjednoczonych, mieszka obecnie 14,347,027 katolików, t. j. o 111,576 więcej, aniżeli podawały wykazy zeszłoroczne.

Wliczając liczbę katolików, mieszkających w innych krajach pod flagą amerykańską, t. j. na Filipinach, Porto Rico i na wyspach Hawaii, okaże się, że razem w Stanach Zjednoczonych i ich koloniach mieszka obecnie 22,587,079 katolików.

* * *

Liczba księży katolickich w Stanach Zjednoczonych wynosi 16,550, z tego 12,274 przypada na księży świeckich, a reszta zakonnych. Nowych księży wyświęcono w roku 1909 — 457.

Kościołów katolickich, posiadających własnych proboszczów, jest w tym kraju 8,849, a oprócz nich znajduje się 4,355 kościołów misyjnych, obsługiwanych przez proboszczów z sąsiedztwa. Razem jest przeto 13,204 kościołów: o 366 więcej, aniżeli przed rokiem.

* * *

Oprócz tego w Stanach Zjednoczonych istnieje 6,182 seminarzystów. Kollegiów katolickich dla chłopców jest 217, a akademij dla dziewcząt 709. Katolicy w Stanach Zjednoczonych posiadają 289 zakładów dobroczynych utrzymywanych przez katolików jest 1,125.

Szkół parafialnych katolickich jest w Stanach Zjednoczonyh 4,845, a uczęszcza do nich 1,237,251 dzieci. Przyrost ilości szkół w przeciągu roku ostatniego wynosi 142, a przyrost ilości dzieci szkolnych 39,338. — Zliczywszy wszystkie dzieci, kształcące się w katolickich szkołach parafialnych, kollegiach, akademiach, sierocińcach i innych zakładach katolickich, otrzymamy liczbę 1,450,448, czyli o 53,101 więcej, aniżeli w roku ubiegłym.

* * *

Do hierarchii w Stanach Zjed. należą: Delegat apostolski i kardynał (Gibbons w Baltimore), 13 arcybiskupów. — Najstarszym Prałatem

w tym kraju jest kardynał Gibbons, który sakrę biskupią otrzymał 16 sierpnia 1868 r. Drugim z kolei jest biskup Hogan w Kansas City, Mo., konsekrowany w miesiąc po kardynale Gibbonsie. Trzecim z rzędu jest arcybiskup Ryan w Filadelfii, zamianowany biskupem Ireland w St. Paul, konsekrowany 21 grudnia 1875 roku.

* * *

Najliczniej zamieszkuje ludność katolicka stan nowojorski, albowiem mieszka w nim 2,722,647 katolików. Po tym stanie idą następujące: Pensylwania 1,494,766; Illinois 1,443,752; Massachussets 1,373,772; Ohio 619,235; Louisiana 557,431; Wisconsin 532,217. Mniej, niż pół miliona, ale więcej, niż 100,000 katolików liczą stany: New Jersey 496,000; Michigan 489,451; Missouri 452,703; Minnesota 427,627; California 391,500; Connecticut 370,000; Texas 283,917; Iowa 242,009; Rhode Island 242,000; Indiana 218,758 i Kentucky 194,296.

* * *

W Stanach Zjednoczonych wychodzi 322 pism katolickich i to w 12 różnych językach. Zdaniem „Dziennika Chicagowskiego“ w tej liczbie są tylko trzy polskie pisma dzienne: „Dziennik Chicagowski“, „Nowiny Polskie“ (wychodzą w Milwaukee), „Polak w Ameryce“.

Inne dzienne pisma nie są więc katolickiemi.

**Wzrost katolicyzmu w Szkocyi.** W ostatnim zeszycie londyńskiego „Catholic Hrald“ znajdujemy pouczające zestawienie statystyczne, dotyczące wzrostu katolicyzmu w Skocyi w ciągu 100 lat ostatnich. W roku 1800 w Szkocyi było 2 biskupów, 40 księży, 12 kościołów i 30,000 katolików. W roku 1829, po pamiętnej w tym roku emancypancyi religijnej w Anglii, było 4 biskupów, 50 księży, 31 kościołów, 20 szkół katolickich 70,000 wiernych. W roku 1879 Szkocya posiadała 1-go arcybiskupa, 2 biskupów, 227 księży, 332 kościoły, 150 szkół katolickich i 70,000 wiernych. Dziesięć lat temu, w roku 1899 miała 2 arcybiskupów, 4 biskupów, 452 księży, 358 kościołów, 247 szkół kttolickich i 423,000 wiernych. Obecnie liczy Szkocya 2 arcybiskupów, 4 biskupów, 555 księży, 394 kościoły, 162 szkoły katolickie i 518,000 wiernych. W Glasgowie był w roku 1800 jeden kościół katolicki, obecnie jest ich 25; w roku 1819 liczono tam 8,245 katolików, dziś mieszka ich w Glasgowie 380,000. W Edynburgu, stolicy Szkocyi, w roku 1800 były 2 kościoły, dziś jest 9. W Dundee w roku 1800 nie było żadnej świątyni katolickiej, dziś jest 5.

**Protest.** Otrzymujemy następujący protest proboszcza opolskiego:

„Ze zdziwieniem niemałem wyczytałem niedawno w pismach, jak „sprawiedliwie“ hr. Bobryńskij informował 2-gie posiedzenie podkomisyi chełmskiej o stanie rzeczy na Chełmszczyznie. Jeszcze ciekawszem i prawdziwie charakterystycznem jest to, że pan ten do swoich, wiadomych już wszystkim celów, — nie przebiera w środkach, powołując się dla obałamucenia opinji publicznej nawet na kapłana katolickiego.

W sprawozdaniu swojem, na drugiem posiedzeniu podkomisyi chełmskiej hr. Bobr. dowodził, że stosunki chełmskie badał na miejscu, rozmawiał z włościanami i księżmi. „Niedawno — powiada hr. B. — przyznał mi się ksiądz Ch. z Opola, iż z 2,000 jego parafian tylko 500 mówi po polsku, reszta po rusku“.

Otoż fałszem jest: 1) jakobym się miał hr. Bobr. przyznać do tego, czego niema, co nie istnieje. Fałszem, że w Opolskiej parafji jest tylko 2,000 dusz, skoro statystyka prof. Jesipowa wykazuje 3,000. Jeżeli mówiłm o 2,000, to akcentowałem wyraźnie, że 2,000 — to stała ludność, trzeci tysiąc przypada na ludność niestałą i służbę dworską. Fałszem jest, że tylko 500 mówi z Opolskich parafjan po polsku — reszta po rosyjsku. Albowiem o liczbę, mówiących po polsku p. hr. wcale mię nie pytał, lecz tylko o starych, t. j. dawnych łacińskiego obrz. katolików. Niepodobną zresztą jest rzeczą określić liczebnie. ilu stale mówi po polsku, a ilu używa na równi języka polskiego i rusińskiego.

2) Wówczas dowodziłem i obecnie śmiem p. hrabiego i wszystkich najkategoryczniej zapewnić, będąc dobrze ze stosunkami na Chełmszczyźnie obeznany, że wszyscy, nawet prawosławni, umieją po polsku i języka tego narówni z rusińskim, czyli małoruskim używają. Po rosyjsku nigdy nie mówią i tego języka absolutnie nie używają, nawet byli żołnierze szybko zapominają języka rosyjskiego.

Gdyby Sz. hr. B., zamiast wiele czasu poświęcać bez pożytku dla sprawy Chełmskiej, na zwiedzanie np. jednej Leśnej (monasteru żeńskiego) zechciałby więcej natomiast tegoż poświęcić zwiedzaniu innych, miejscowości z projektowanej Chełmszczyzny, gdyby był zajrzał i do tego męczeńskiego Opola i jego okolic, możeby nie miał tyle odwagi sumarycznie podprowadzać wszystkie miejscowości pod jeden kąt swego widzenia. Byłby może ze smutkiem się przekonał, że ludność tu przeważnie po polsku czuje, po polsku mówi, po polsku się bawi, po polsku śpiewa, byłby widział, jak najgorliwsi wyznawcy prawosławnej wiary najchętniej uczą się w domu polskiego języka, polskie kolędy śpiewają podczas świąt Bożego Narodzenia obydwu stylów.

Możeby wówczas nie miał tyle odwagi w błąd wprowadzać opinji publicznej swojej ojczyzny, która dzięki takim „bezstronnym“ informatorom, jak Eulogjusz i p. Bobr., daleką być musi z konieczności od prawdziwego sądu o rzeczy.

Rosya nigdy wdzięczną nie będzie hrabiemu B., za tę niedźwiedzią iście przysługę. Wydawszy nawet krocie, przekona się, że ta ludność w Chełmszczyźnie, jak była przesiąkła kulturą polską, tak i pozostanie nadal, bez względu, czy będzie należała do Siedleckiej i Lubelskiej gubernii, czy też tylko do Chełmskiej i Kijowa.

*Ks. W. Chojecki.*
Pleban Opolski.

W opolu, 15 stycznia 1910 r.

**Z Łodzi.** Świeżo wybudowany przez Stow. robotników chrześcijan Dom Ludowy przy ul. Przejazd 34, wkrótce oddany będzie do użytku.

**Ze statystyki pijaństwa.** Według obliczeń urzędowych, 11-milionowa ludność Królestwa Polskiego w roku 1908 wypiła wódki za przeszło 40 milionów rubli, z czego skarb państwa osiągnął zysku z górą dwadzieścia osiem milionów rubli. Majątek niewątpliwie olbrzymi, złożony w ofierze szkodliwemu nałogowi. A jednak Królestwo Polskie stanowi pod tym względem dla Cesarstwa jeszcze ideał wstrzemięźliwości i skromności.

Z powodu odbywającego się w Petersburgu zjazdu antialkoholicznego dzienniki zaznaczyły, że w państwie rosyjskiem najmniejszy haracz nałogowi pijaństwa płacą gubernie nadbaltyckie i Królestwo Polskie. Najgorliwiej obroty monopolu wódczanego popierają rdzenne rosyjskie gubernie. Gdyby w guberniach tych ilość przypadającej na jednego mieszkańca wódki równała się takiejże ilości, przypadającej na jednego mieszkańca w gub. nadbaltyckich, lub w Królestwie Polskiem, ludność gubernij centralnych oszczędzałaby rocznie najmniej 70 milionów rubli. W ciągu 10-ciu lat włościanie gubernij rdzennie rosyjskich wydaćby mogli na ulepszenie gospodarstwa swego najmniej 700 milionów rubli.

„I owo ulepszenie gospodarstwa co 10 lat kosztem 700 milionów rubli — dodaje do obliczenia tego *Russkoje Słowo* — stanie się faktem niewątpliwym wówczas, gdy w przyzwyczajenie, obyczaje i w cały wogóle system życiowy ludności gubernij centralnych wejdą chociażby te żywioły kultury, które mono już utrwaliły się wśród ludności w guberniach nadbaltyckich i w Królestwie Polskiem“.

# Święć się imię Twoje!

## Opowieść z życia górników.

---

Trzeba iść, zejść do szybu, ludzie już muszą schodzić. Ha, no!

Oskarowicz czapkę nacisnął, podszedł do stolika, wyjął z niego rewolwer i w zanadrze wsunął.

Z górnikami trzeba ostrożnie, nie wiadomo co tam spotkać może w tych zakrętnych, wązkich korytarzach, ciemnych, zionących wilgoćią słoną ze ścian, pokrytych zieloną pleśnią.

Za odłamem soli, za bryłą, za belką, często zbrodniarza mściwa ręka czyha na przyjście inżyniera, który wczoraj strofował za zbyt krótki sznur do dynamitu, za niedbałe podparcie osuwającej się komory.

Na chwilę nie wolno okazać osłabnięcia siły, trzeba patrzeć w oczy, jak sforze buldogów, tym źle płatnym a zjedzonym od pracy ludziom i mówić ciągle ostrym, rozkazującym głosem.

Wyszedł wreszcie na dwór, zamykając drzwi na klucz. Ciemno jeszcze było zupełnie. Szaruga nocna, jesienna aż wyła, aż jęczała dokoła. Całe strugi wody pokrywały płaszczyznę pustą, nagą, straszną.

Oskarowicz szedł prosto, brodząc po wodzie, po błocie, z obojętnością zupełną.

Drogę znał dobrze. Ciężkie, nieprzemakalne buty chroniły mu nogi. Ręce wsadził w kieszenie kurtki i kierował się ku rynkowi. W domach błyskały światełka.

— Oskarowicz wszedł wreszcie do restauracyi, w której zapalono lampy i przygotowano samowar. Podłogę zalewało błoto. Oskarowicz usiadł za stołem i pił herbatę z grubej zielonej szklanki. Przed nim leżał obdarty numer przedwczorajszej „Reformy“. Sięgnął po niego, ale zaraz rzucił. Co go obchodzić mogło, co się działo na ziemi? Wszak jego życie skupiało się teraz pod ziemią. Dziwny zbieg okoliczności! Za życia musi się przyzwyczaić do grobowej ciemności i mogilnej pleśni. Straszne, straszne! Zapłacił za herbatę i poszedł do szybu.

Gdy wszedł do sali, powitał go chór głosów:

— Szczęść Boże!

Odmruknął niewyraźnie i zaczął pospiesznie wdziewać swój kitel i czapkę.

Gdy stanął na platformie windy, ogarnęła go nagła rozpacz. Znów do lochu, znów do tej głębi, w której niema dla niego nic, nic, żadnego promienia, żadnego uśmiechu, żadnego światła, nic!

Obok niego na platformie cisnęli się górnicy. Byli tam trybarze, kopacze, wozaki, wszyscy pomieszani razem, odziani jednakowo w jakieś szare, przesiąkłe słoną wilgocią łachmany. Twarze mieli ziemiste, oczy zagasłe, stali w milczeniu, obojętnie patrząc na czarne ściany, po których zsuwała się wolno winda w głąb ziemi. Oskarowicz patrzał na nich z zazdrością. Ile rezygnacyi jakiejś dziwnej, zaczerpniętej nie wiadomo z jakiego źródła mieli w sobie ci ludzie! Szczególnie ten jeden, stary, siwy trybacz o szerokich, jakby przełamanych plecach. Rezygnacya jego, rozlana na twarzy i w całej postaci, ma nawet w sobie pewną pogodę, pewną równowagę. Latarkę umieścił na piersiach, i łagodne światło oblewa mu dolną szczękę i wyprowadza na jaw pewien dobroduszny uśmiech zwiędłych warg. W ręku trzyma koszyczek, w którym widać kromkę chleba, garnuszek i jakiś długi przedmiot owinięty w brudny papier.

Platforma windy była niewielka. Górnicy stali stłoczeni jak stado bydła. Powoli owiewało ich grobowe, ciepławe powietrze. Oni stali obojętni. Jeden z nich kaszlał cicho, drugi coś szeptał do sąsiada.

Oskarowicz stał na brzegu, wpatrzony w czarną masę ściany, przeciętą wiązaniem belek, które uciekały w górę, jaśniejąc na chwilę w mdłem świetle latarń i ginąc w czerni. I nagle, na chwilę, doznał jakiegoś ściśnienia serca. Coś się w nim zamroczyło, zaczęło rwać do światła, na powierzchnię ziemi.

Potarł ręką czoło. Ruchem tym potrącił obok stojącego górnika.

— Przepraszam pana inżyniera! — wyrzekł ten natychmiast pokornym głosem.

Oskarowicz odwrócił się i miał na ustach słowa: „To ja was przepraszam", ale przypomniał sobie, że z nimi trzeba jak z psami, ostro, i patrzeć w oczy, bo inaczej życie może być w niebezpieczeństwie. Nie odrzekł więc nic, ale mimowoli zwrócił wzrok na twarz starego górnika. Dziesiątki lat! Oskarowicz wpatrzył się w twarz górnika i ze zdumieniem nie dojrzał w niej ani goryczy, ani jadu, ani rozpaczy bezbrzeżnej. On sam. on, który na platformie tej windy zsuwał się tak dopiero od kilku miesięcy, on ma już takie dwie brózdy rozpaczliwe koło ust, a ten szmat zjedzonego pracą ciała uśmiecha się prawie dobrodusznie w świetle swej latarki! Więc co go tu tak podtrzymuje? Co mu dodaje sił? Musi być przecież coś... Może żona, może dzieci, może... Nie, nie! Oskarowicz już poznał domowe życie tych górników. Nędza, klątwy, życie nad stan, pijaństwo... Więc co, więc co?

Winda stanęła z jakimś szumem, łoskotem.

Oskarowicz zszedł pierwszy i szybko minął próg izby windowej. Rzucał się tak codzień w ten labirynt kurytarzy, codzień z uczuciem kogoś, kogo zmuszają do skoczenia w wodę.

Nie schodził jeszcze na niższe piętra kominami za pomocą drabin. Dozorował na razie podpierania jednej z wybranych już komór, która groziła osunięciem się zupełnem.

Górnicy rozsypali się w rozmaitych kierunkach. Tu i owdzie w otchłani zaświeciły ich latarki i powoli ginęły w jakiejś czarnej mgle, kurytarze przepełniającej. Oskarowicz szedł po oślizgłych deskach chodnika i mgłę tę zionął w siebie z jakąś rozpaczliwą wściekłością.

— Grób, grób! — powtarzał prawie bezprzytomny.

Za nim szedł ktoś, szedł cicho, ostrożnie.

Oskarowicz mimowoli rękę po rewolwer skierował, ale zaraz ją cofnął.

— Co tam, niech lepiej zabije, wolę śmierć niż takie życie.

Ale gdy przeszedł kilka kurytarzy i parę komór, a ciągle po chodniku słyszał za sobą te lękliwe, jakby czające się kroki, ogarnęło go tak wielkie zdenerwowanie, iż postanowił uwolnić się od tego natręta jakimkolwiek sposobem. Przystanął nagle, odwrócił się i w idącym za nim człowieku poznał starego górnika o koszyczku pełnem jadła i o dobrodusznej twarzy.

Natychmiast górnik dotknął swej czapki i wyrzekł grzecznym głosem:

— Szczęść Boże, panie inżynierze!

— Dokąd idziecie? — spytał Oskarowicz, i nie czekając na odpowiedź, usunął się z chodnika. — Idźcie naprzód! — rzucił rozkazująco.

Górnik usłuchał rozkazu, grzecznie, choć ciężko, przesunął się obok Oskarowicza i poszedł przodem, spiesząc się widocznie.

Oskarowicz szedł teraz jego śladem, i w ślad za tą schyloną roboczą postacią biegły jego myśli.

— Kret, kret! nic więcej, życie całe przeżył w tej pleśni. Ha, ha!.. I to się spieszy, tak się spieszy, jakby pod tą ziemią czekała jakaś wielka radość, uśmiecha się nawet ten szaleniec, uśmiecha się w tym grobie! Dokąd on iść może?

Nagle, w oddali majaczy jakiś wieniec światełek. Na czarnem tle koło złotawych punkcików, a ponad nimi wyżej krwawa gwiazda. Ma to wielki, tajemniczy urok zjawiska. Latarka górnika także spieszy w tym kierunku, jakby pociągana jakąś niewidzialną mocą. Oskarowicz przez chwilę zastanawia się. Co to za światła? Co to być może? Ale już przy-

pomina sobie. To kaplica. Podziemna, wykuta w bryłach kaplica. Widział ją nieraz przechodząc, ale nie zwrócił na nią uwagi. Górnik jest już w kaplicy. I nagle, jego biedna, siwa głowa zjawia się teraz bez czapki, w aureoli owych złotych mistycznych światełek, które ją oświetlają prześlicznym, tajemniczym świetlanym blaskiem. Cała dobroć i łagodność tego starca rysuje się promiennie w tym świetlanym wieńcu. Włosy jego siwe nabierają srebrnego blasku... Ciemne bruzdy nikną, tylko jakaś rzewna duchowa moc i czystość w połączeniu z rezygnacyą występuje w całej pełni z wyrazu, jaki nabrały rysy i spojrzenia górnika. Oskarowicz zaczął iść bardzo cicho i gdy doszedł do wejścia kaplicy, stanął za filarem, wpatrzony w twarz górnika, który przez chwilę długą stał tak oświetlony promiennie, zjawiskowo, a wzniósłszy oczy w górę, szeptał pacierze, od których drżały płomienie światełek. Potem, pochylił się ku ziemi, wyjął z koszyczka jakiś przedmiot owinięty w papier, odwinął go, i Oskarowicz ujrzał świecę, biedną, małą, tanią świeczkę. Górnik, ciągle szepcąc pacierze, świeczkę do światełek zbliżył, zapalił, osadził na haku wbitym w rodzaju mosiężnego świecznika i oto i ona zapłonęła w kręgu u stóp krzyża. Górnik odstąpił od świecznika i stał teraz o kilka kroków od Oskarowicza, przypatrując się z widoczną radością, jak ta jego mała, tania łojówka płonęła wśród innych świeczek poprzednio już zaświeconych. Cisza panowała dokoła wielka, cisza stokroć więcej świątynna i uroczysta, niż w najwspanialszych katedrach o koronkowych, strzelistych wieżach. Ofiarne, ubogie światła płonęły w tej ciszy i ciemni cudownie i wspaniale. Oskarowicz doznał dziwnego uczucia. Czuł, że w nim całe serce mięknie, że chwyta go jakieś dziecięce rozrzewnienie. Tu był Krzyż, tu, przed nim, Krzyż, początek i koniec wszystkiego. Krzyż w mistycznym wieńcu kornie u stóp jegoległych dusz, zrezygnowanych i wielkich, wielkich swą pokorą, swą wiarą, swą ufnością.

Nagle górnik go dostrzegł. Ukłonił się znów i gotował do odejścia. Ale Oskarowicz szybko, prawie bezwiednie wyrzekł pierwszy:

— Szczęść Boże!

Nie poznał swego głosu, brzmiał on miękko, serdecznie prawie. U stóp tego krzyża brzmieć inaczej nie mógł. Górnik natychmiast odparł:

— Szczęść Boże, panie inżynierze!....

A potem, jakby w formie usprawiedliwienia dodał:

— Ja ot, tak, zboczyłem na chwilę, ale zaraz idę do roboty. Chciałem oto moją świeczkę na chwałę Boskiego imienia zaświecić, ale.... ja idę..... panie inżynierze!

Odchodził, ale nie sporo mu było. Z lubością patrzał na to swoje światełko, płonące na chwałę Boskiego imienia w ciemnicy podziemnej.

— Zawsze to pięknie — wyrzekł rozgadanym tonem dobrego człowieka — skoro tak Panu Bogu na chwałę i my, chudziaki, świecimy światło. Bóg nasza jedyna pociecha i szczęście w ciężkiej pracy..... Przez tę świeczkę, co święci Imię Twoje, Panie Jezu, w tej ciemności mam ukontentowanie na cały dzień pracy...

Przeżegnał się i drżącemi ze starości wargami dorzucił wpatrzony w migocący wilgocią Krzyż:

Święć się Imię Twoje!.....

Odszedł. Długo słychać było jego kroki po drewnianym chodniku, aż wreszcie ucichły zupełnie.

O słup oparty, stał Oskarowicz nieruchomy i wpatrzony w wianuszek świec, które płonęły złotawo-ubogo, ale jasno, jak wiara tych prostych serc, które je do stóp Krzyża przywiodły. I echem cichem jeszcze brzmiały ciasne ściany kaplicy:

— Święć się Imię Twoje!..



## ZŁOTE MYŚLI.

Niema ludzi stalszych w dobrem, jakie sobie zamierzyli, nad cichych i łagodnych; ci przeciwnie, którzy się łatwo unoszą gniewem, zwykle są niestałymi.



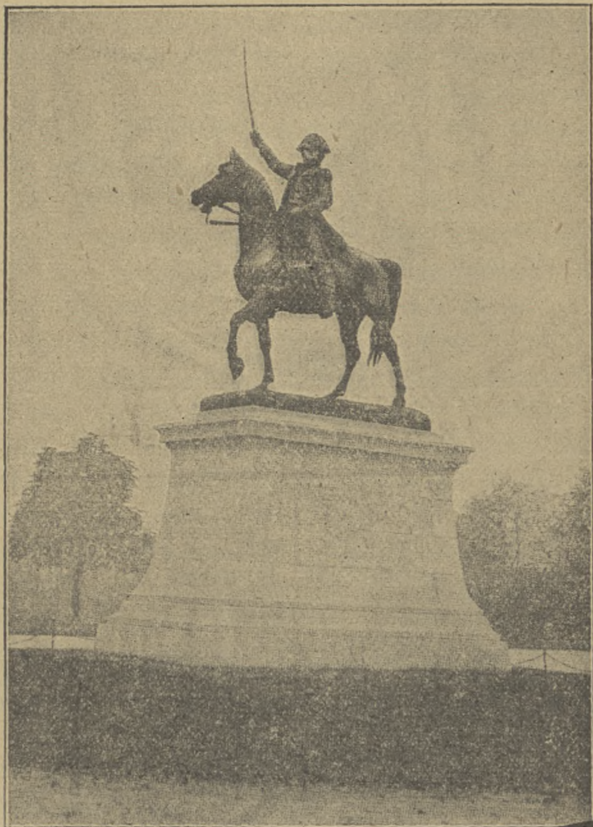
Wszystkie grzechy, wielkie i małe pochodzą z pychy, jako ze swego źródła.



Najtrudniejszą nauką jest nauka życia.

# Nauka i rozrywka.

**Tadeusz Kościuszko.** Dnia 12 lutego 1746 roku w powiecie słonimskim, w rodzinnej majętności Mereczowszczyźnie, ujrzał światło dzienne



*Pomnik Kościuszki w Humboldt Parku, w Chicago.*

nasz bohater narodowy, sława i duma polskiego narodu, Tadeusz Kościuszko, zwycięzca z pod Racławic i Warszawy.

Młodociane lata Kościuszki nie były zbyt szczęśliwe. Ojciec jego, szlachcic starej daty, niezbyt zamożny, żałował każdego grosza na wy-

chowanie dziecka i niejednokrotnie mu to wypominał. W ogóle był to człowiek nieużyty, i wywierający ujemny wpływ na chłopca. Lecz matka Tadeusza Kościuszki odznaczała się dobrocią, wyrozumieniem i współczuciem dla nieszczęśliwych i skrzywdzonych i od niej to te same zalety serca odziedziczył Tadeusz.



*Pomnik Kościuszki w Milwaukee, w Ameryce.*

Dalsze wychowanie, Kościuszko odebrał w świeżo zreformowanym korpusie kadetów w Warszawie.

Tam pod wpływem Stanisława Konarskiego, szerzyciela wolności i wszechbraterstwa, jeszcze bardziej odsunął się od ojca, dla którego kańczugi surowość były alfą i omegą w postępowaniu z ludźmi.

Lecz już w tak odległych czasach lud zrozumiał, że urodzenie różnicy nie czyni, że tak dobrze mieszkańcy chaty, jak i pałacu w obliczu Boga są sobie równi, a gdy kańczug coraz to częściej na podwórcu dworskim w Mereczowszczyźnie się pojawiał, pokorny lud polski nie mógł dłużej już ścierpieć i nakoniec poddani, do rozpaczy przywiedzeni, posłuchali podszeptów złego ducha, napadli na dwór i zamordowali nieludzkiego pana.

Tadeusz Kościuszko nie potępiał bezwzględnie ludzi za ten krwawy postępek. Przeciwnie, postanowił poświęcić życie na odkupienie winy ojców i zbratanie szlachty z włościaństwem.

Propagowane przez Kościuszkę idee nie znalazły łaskawego posłuchu pośród szlachty, nazywano go nowatorem, człowiekiem niebezpiecznym i z tego powodu pewien magnat odmówił mu córki.

Wtedy to przyszły naczelnik opuścił po raz pierwszy kraj rodzinny i pragnąc w dalszym ciągu służyć ideałom wolności, udał się do Nowego Świata z zamiarem wstąpienia w szeregi walczących o niepodległość Unii.

Godność, prostota, wytrwałość w pracy i nieustraszone męstwo zdobyły mu wieniec sławy w kraju, za którego sprawę krew swą przelewał. I od tego czasu wdzięczni Amerykanie z czcią prawdziwą imię jego powtarzają.

Kościuszko był człowiekiem czynu, który nigdy, czy to w tryumfie, czy to w klęsce, nie tracił równowagi i umiał pozostać sobą. Nigdy nie dał się uwieść pochlebstwu, ani złamać rozpaczą i powalić cierpieniu.

A życie nie było dlań słodkiem.

Najprzód tragiczna śmierć ojca, potem utrata narzeczonej, wydanej za księcia Lubomirskiego, a potem ciosy, które spadły na ukochaną ojczyznę, najsilniejszym organizmem zachwiać mogły. Lecz on pomimo cierpień nie ugiął się od bijących w niego piorunów i nie odstąpił od swych ideałów. Po bohatersku walczył za ojczyznę pod Racławicami, pod Szczekocinami, pod Maciejowicami, a przedtem pod Dubienką. Z pod Wasrszawy przegnał Prusaków i z ich królem z powrotem do Prus.

Już na łożu śmierci będąc, Kościuszko jeszcze jednego dzieła wiekopomnego dokonał. Testamentem zastrzegł uwolnienie w kraju włościan od pańszczyzny, donacyę zaś amerykańską otrzymaną za zasługi położone w walce o niepodległość, przeznaczył na szkołę murzyńską w New-Port.

Tym ostatnim szlachetnym czynem zakończył swą ziemską wę-

drówkę Ten, którego życie całe było jednym wielkim tryumfem nad słabą naturą ludzką, który dla idei równości, braterstwa i wolności narodów gotów był na zupełne zaparcie się swego „ja“, na największe poświęcenia.

**Ojczyzna.** Każdy człowiek ma swoją ojczyznę. Miejsce, gdzieśmy się urodzili, gdzie mieszkali nasi dziadowie, gdzie mieszkają nasi rodzice i gdzie przepędziliśmy naszą młodość, nazywamy ojczyzną. Każdy człowiek kocha gorąco swoją ojczyznę i nie chciałby się nigdy na długo z niej oddalać. Tam jest jego rodzina, krewni, przyjaciele; tam każdy człowiek jest mu prawie bratem, bo mówi tym samym językiem, co i on.

Zdarza się, że wielu musi porzucić ojczyznę, musi dla chleba iść w świat szeroki, mieszkać pomiędzy obcymi. Jednakże, gdy tylko czas i obowiązek im pozwolą, wracają z radością do swoich.

**Wziął Żyd Żyda.** Pan Jędrzej Skiba handlował bydłem. Kupował, podkarmiał, sprzedawał z zarobkiem i — dobrze mu się wiodło na świecie. Daleko wokół maisteczka, gdzie mieszkał, nie było targu ani jarmarku, na któremby nie było pana Jędrzeja.

W Sączu stawał od niepamiętnych czasów zawsze u Abramka, który jak to mówią, formalnie skakał koło swego gościa. Ba! Miał też i czego, bo Skiba nietylko, że sam dał zarobić, a za kołnierz nie wylewał, ale i drugich sprowadzał na tak zwany litkup. W dodatku trzeba wiedzieć, że Abramek, który po nieboszczyku Srulu, swoim ojcu, odziedziczył arendę, przejął również „inwentarz“ i p. Jędrzeja, od lat dwudziestu, przyjaciela poprzedniego arendarza.

Pan Jędrzej tedy był tu jak w domu, a nawet od czasu, gdy go na targu okradziono, dawał większe pieniądze Srulowi do przechowania.

Stary żyd nigdy go na grosz nie oszukał, a ponieważ jabłko niedaleko pada od jabłoni, czyli jakie drzewo, taki klin — jaki ojciec taki syn — więc też i Abramko nieraz przechowywał podczas jarmarku spore sumy grosiwa Jędrzejowego. Sam zacny i łatwowierny powierzał mu pan Skiba często różne sumy, nawet i bez świadków, jak dawniej staremu Srulowi.

Jednego dnia był w Sączu targ, no, i Jędrzej stawił się nań, jak zazwyczaj. Do gospody zajechał, podjadł i podpił przyzwoicie, a zawoławszy szynkarza na stronę do alkierza, rzekł mu:

— Weźcie mi no, Abramku, ten tysiączek w przechowanie; kupców, widzę, jest dużo, ale złodziei jeszcze więcej. Lepiej być ostrożnym.

— Z całą przyjemnością, panie Jędrzeju! — odpowiedział szynkarz, schował tysiączek, a ponieważ ktoś tam właśnie zawołał do szynkfasu, odbiegł od starego Skiby.

Spokojny o grosz Skiba wyszedł tedy na targ, gdzie mu się bardzo podobały dwa młode woły i po niedługim targu kupił je za wcale niewielką cenę. Sprzedającego zatem poprosił do gospody, gdzie miał mu wręczyć pieniądze i oczywiście zapić sprawę zwyczajowym litkupem

Przedtem jednak wstąpił sam do Abramka i odwoławszy go do alkierza, zażądał swych pieniędzy.

Jakże się biedaczysko przeraził i zmartwił! żyd zaparł duszę i ciało, że tysiączka żadnego od niego nie brał!

Młodego arendarza na widok banknota szatan opętał! Podszepnął mu, że przy oddawaniu pieniędzy żadnego nie było świadka, że zatem Skiba sprawę przegra w sądzie napewno, a tysiączek... grzechu wart!

żadne zaklęcia Jędrzejowe nie pomagały, żadne odwoływanie się na tyloletnią przyjaźń, na sumienie, na pamięć nieboszczyka ojca, nic, nic! Abramek uparcie powtarzał swoje:

— Panie Jędrzeju, wy sobie mylicie, ja od was nie brałem nijakich pieniędzy!

Inny człowiek byłby narobił hałasu, ale Skiba, ćwik stary, zrozumiał odrazu, jak to mówią, co w trawie piszczy i gdy wiedział, że nadaremnie traci z żydem czas, zabrał się i wyszedł na miasto. Prostą drogą pognał do starego Moszka, któremu od lat trzydziestu prawie sprzedawał skórę bydlęcą, i z którym, można powiedzieć, w bardzo serdecznych pozostawał stosunkach.

Jakkolwiek podczas jarmarku żyd pełne miał ręce roboty, na widok strapionego pana Jędrzeja, wziął go do alkierza, rozpytał o powód, a na pytanie, czy skarżyć wprost do sądu, czy oddać sprawę adwokatowi, odrzekł:

— Ani jedno, ani drugie! W ten sposób tysiączek przepadłby na pewno. Świadków nie było, twardy to proces! Ale ja wiem, panie Jędrzeju, poradzę coś lepszego. Jeżeli mnie posłuchacie, odbierzecie od Abramka jeszcze dziś swoje pieniądze.

— Moszku! — wykrzyknął uradowany Skiba — jeżeli to wam się uda, dostaniecie stówkę!

— Nie — odrzekł stary handlarz — to byłoby za wiele, ale pięćdziesiątkę, to zasłużę rzetelnie i przyjmę. Przecież ani kura darmo nie grzebie — dodał, a gdy usiedli, tak dalej rzecz prowadził:

— Macie jeszcze jakie pieniądze przy sobie?

— Mam ze trzy stówki.

— Hm, to mało! Dwieście ja sam dam, a resztę zbierzecie tu łatwo między znajomymi. Jak będzie całe tysiąc, przyjdźcie do mnie; a spieszcie!

Jędrzej chciał się jeszcze wypytywać, ale Moszko go ku drzwiom popchnął:

— Robić, robić, nie gadać... Każda chwila droga!

Poleciał zatem p. Skiba, a za godzinę wrócił z ośmioma setkami. Moszko dwie swoje dołożył i szepnął:

— Idźcie teraz do urzędu podatkowego, pan poborca was zna i zmieni wam to na jeden banknot!...

Nic pytając już o nic, pobiegł znów Jędrzej. W kwandrans był z powrotem, z całym tysiączkiem.

Kiwnął głową kupiec i rzekł:

— Idźcie teraz, panie Jędrzeju, do gospody, do Abramka. O tamtych pieniądzach ani słowa nie wspominajcie... Siądźcie tylko za stół i każcie sobie podać piwa. Po chwili udajcie, że idziecie za bydłem, a boicie się o pieniądze, dajcie Abramkowi ten tysiączek do przechowania, ale przy świadkach! Przy świadkach, rozumiecie! Jak to zrobicie, przyjdźcie znów do mnie.

Skiba pokręcił głową, ale zmiarkowawszy, że przecież i Moszko ma w tym tysiączku swoje dwie setki, wziął na odwagę i poszedł do gospody.

Za małą godzinę wrócił.

Moszko wypytywał go troskliwie, kto był świadkiem wręczenia pieniędzy i rozporządzał dalej:

— Idźcież teraz znowu do Abramka, zawołajcie go do alkierza, opowiedzcie, że trafia się wam dobry interes z wołami i odbierzcie od niego ten tysiączek, ale bez świadków, słyszycie, bez świadków! Z tym tysiączkiem wrócicie znów do mnie.

Poszedł pan Jędrzej.

W gospodzie było pełno ludzi, gwar, hałas, nikt ani nie spostrzegł, jak Abramko wszedł za Jędrzejem do alkierza.

— Bardzo słusznie! — rzekł on do żądającego pieniędzy — daliście mi tysiączek, ja wam oddaję, ale co przedtem, toście się mylili, mój panie Jędrzeju!

Oddał tysiączek, bo przecież przy wręczeniu go poprzedniem byli świadkowie!...

Skiba schował banknot i pobiegł do Moszka.

— To nie żaden drugi — odrzekł żyd — to jest wasz pierwszy tysiączek, który daliście bez świadków.

— Jakżeż?.. a drugi?

— Z drugim już łatwa sprawa, bo drugi wręczyliście Abramkowi przy świadkach i przy świadkach teraz pójdziecie go odebrać. Wyście nie mieli świadków, że daliście mu tamten tysiączek, a on nie ma świadków, że wam oddał drugi. Rozumiecie?

Jędrzejowi zaświtało w głowie! Pognał do gospody i niby spiesząc się na jarmark, zażądał od karczmarza swoich pieniędzy.

Abramek zbladł... W jednej chwili przewąchał pismo nosem, próbował coś wykręcać, zaprzeczać niby żartem, ale świadkowie są świadkami, nie było rady.

Z kwaśną miną wyjął książeczkę, którą już uważał za swoją i szepnął Jędrzejowi, oddając:

— Głowa z was, panie Skiba! Dobrzeście mnie wzięli....

Ale pan Skiba, biegnąc z uratowanymi pieniędzmi do Moszka, mruczał zadowolony po drodze:

— Nie ja cię to, nieboże, wziąłem, mój Abramku, wziął żyd żyda....

Mądry Moszko dostał swoją pięćdziesiątkę, a pan Skiba odtąd nie powierzał tysiączków ani ze świadkami, ani bez świadków!

**Ze wspomnień z przeszłości.** Dnia 20 stycznia 1699 r. podpisano ostatecznie głośny i niezmiernie ważny w dziejach Europy wschodniej traktat Karłowicki. Rokowania trwały dość długo; jeszcze w październiku, a mianowicie 23, zjechali się do niewielkiej mieściny Karłowic słowackich pełnomocnicy Anglii, Holandyi, Rosyi, Austryi, Wenecyi i Polski, by uregulować sprawy tureckie i państw ościennych, wielce pogmatwane z powodu blisko sto lat trwającej wojny, jaką Turcya wiodła z Rzecząpospolitą Polską i Wenecką, z cesarstwem Austryackiem i Rosyą. Wytknięto więc w Karłowicach trzy obozy, jden dla posłów cesarskich, polskich, weneckich i rosyjskich, drugi dla posłów tureckich, trzeci dla pośredników. W pierwszym każde poselstwo miało swój namiot osobny, przesadzając się w przepychu i zbytkach. W obozie pośredników zbudowano szopę, a w niej tyle drzwi, ilu posłów, ażeby czasem do wielkich faktów dziejowych, faktów, w których decydowano o losach milionów ludzi, drobne zawiści i pretensye ludzkie, godne małomiasteczkowych wielkości, dołączyć się muszą.

Ze strony Rzeczypospolitej polskiej posłował Małachowski, wojewoda poznański. Cała Europa miała zwrócone oczy na Karłowice, bo z nich miał wyjść albo pokój po pięciowiekowych blisko i szalonych burzach, albo nowe wojny. Ugodzono się przecież. Posiedzenia od 22 listopada do 18 grudnia zajmowały się wyłącznie sprawami polskiemi. Wojewoda dzielnie stawał w obronie nieprzedawnionych spraw polskich, którym usiłowała zaprzeczyć na własną korzyść znana „wdzięczność rakuska". Nakoniec dnia 20 stycznia 1699 roku Rzeczpospolita w osobie Małachowskiego podpisała traktat. Zrzekła się nim Polska grodów w Mołdawii, które trzymali od ostatnich wycieczek w r. 1691. Turcy zwrócili Kamieniec Podolski, stosunki graniczne między dwoma państwami wracały się do stanu, w jakim były przed smutnej pamięci umową Buczacką. Oznaczono ściśle granicę. Stanowił ją podług traktatu od zachodu Dniestr, od południa Jahorlik, Kodyma do Bohu, dalej Sinnicka.

Upominki, jakie Rzeczpospolita dotąd rok rocznie dawała Tatarom, zniesione, najazdy zakazane. Przywrócono do dawnego zwyczaju i mocy stosunki bezpośrednie województw multańskich z królami polskimi. Tym sposobem Rzeczpospolita warowała sobie pewien wpływ na Wołoszczyznę, ten „klucz Polski". Niestety, nie umiała już i nie mogła z tego warunku korzystać.

Pełnomocnik polski przypomniał prawa Zakonu ś-go Franciszka do grobu Chrystusowego w Jerozolimie, który mieć chciał pod opieką Polski, ale nie poparł go nikt, więc odstąpić musiał. W sto kilkadziesiąt lat później, kto inny podniósł tę sprawę.

**Jak odkryto kometę 1910 r.** Dopiero teraz, na mocy listów, otrzymanych z Johannisbergu, w Afryce południowej, stwierdzono szczegóły i uzupełniono dzieje odkrycia wielkiej komety, która pojawiła się na niebiosach w styczniu r. b. i otrzymała nazwę komety 1910 r.

Oto okazuje się, że kometę spostrzegło najpierw i obserwowało w ciągu mniej więcej dwudziestu minut, wczesnym świtem dnia 15-go stycznia r. b., trzech robotników kolejowych, dozorujących wówczas toru: Bourke, Tricher i Marais. Ludzie ci słyszeli już o komecie Halleya, wyglądanej w Afryce południowej z niecierpliwością nie mniejszą od naszej, byli więc pewni, że ujrzeli tę właśnie kometę i zawiadomili o odkryciu swem naczelnika stacyi Kopjes (w dawnem wolnem państwie Oranii, a obecnie kolonii angielskiej), ten zaś przesłał nowinę telegraficznie dziennikowi „Leader" w Johannisburgu.

Redakcya dziennika powyższego, nie dowierzając snadź depeszy swego korespondenta, zwróciła się telefonicznie z prośbą o wyjaśnie-

nie do miejscowego obserwatoryum astronomicznego. Takim więc sposobem wieść dotarła uszu świata naukowego. Astronomowie johannisburscy, Innes i Worsell, zasiedli tedy nocy następnej na czatach, wyglądając gościa, z powodu jednak chmur nie mogli go dojrzeć dnia 16-go stycznia. Dopiero następnego poranka, dnia 17-go stycznia, ujrzeli kometę i to na krótko, w luce utworzonej przez sunące po niebie obłoki. Niemniej zawiadomili natychmiast o tem międzynarodową stacyę centralną dla wiadomości astronomicznych w Kielu, która tego samego dnia jeszcze zaalarmowała cały świat astronomiczny i — ma się rozumieć — prasę. Niebawem więc ze wszystkich stron kuli ziemskiej zaczęły napływać głosy: Jest, jest! — i nowa kometa stała się popularną.

Co wszak głównie zasługuje przy tem odkryciu na uwagę, pomijając okoliczność, że odkrywcy odkryli nie to, o czem myśleli, jest nadzwyczajna szybkość, z jaką — dzięki elektryczności — wiadomość o odkryciu przybyła drogą dość skomplikowaną. pomimo, że niebo zachmurzone z dnia 16-go stycznia wywołało opóźnienie dwudziestoczterogodzinne, z łatwo bowiem zrozumiałych względów wiadomości fachowe, nadesłane do centralnej stacyi astronomicznej w Kielu, nie mogą być oparte jedynie na pogłoskach.

Jakże inaczej działo się przed stu laty! Gdy mianowicie w styczniu 1801 r. młody astronom włoski, Piazzi, dokonał nierównie ważniejszego odkrycia, mianowicie odkrył planetę Ceres, pierwszą z grupy t. zw. planet drobnych, liczącej obecnie już blisko 700 numerów, listy Piazziego potrzebowały trzech miesięcy, zanim dostały się do rąk astronomów w Niemczech, Francyi i t. d., planeta zaś stała się tymczasem znów niewidzialną.

I gdyby jeden z najgenialniejszych matematyków świata, 24-letni wówczas Gauss, nie był już stworzył zupełnie nowej metody obliczeń astronomicnych, która wytrzymała świetnie pierwszą swą próbę przy obliczeniu właśnie punktu na niebiosach, gdzie powinna była znajdować się planeta Piazziego — to znalezienie jej śród tysięcy podobnych jej gwiazd równałoby się znalezieniu szpilki w stogu siana. Pod tym więc względem możności szybkiego zawiadamiania świata naukowego o nowych odkryciach wywołała przewrót zupełny.

**Prawidła życia.** Tomasz Zan, jeden z najzacniejszych Polaków, przyjaciel Mickiewicza, założyciel Stowarzyszenia „Promienistych“ na uniwersytecie wileńskim, ułożył dla członków owego stowarzyszenia

prawidła, które po wieczne czasy mogą służyć za wskazówki postępowania w życiu wszystkim, chcącym kształcić i doskonalić swe dusze.

Jako główne podstawy życia cnotliwego i pożytecznego uważa Zan dwa przedewszystkiem czynniki, to jest: moralność i oświatę.

W pierwszym punkcie „prawideł“ każe Zan młodzieńcowi codziennie po ocknieniu ze snu przypomnieć sobie, że „czas szybko i bez powrotu ucieka“, a zatem należy z niego korzystać ze wszystkich sił, aby przez cnotę i naukę zapewnić sobie szczęście osobiste.

„Pracuj naprzód nad okryciem twoich niewiadomości — powiada. — Gdy zaś poznasz czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak chciałbyś się nauczyć i czego nieuchronnie do twojej nauki potrzebujesz, natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy, lecz wielki krok na drodze doskonalenia twego umysłu“.

„Nie nazywaj dostateczną nauką wiadomości, usłyszanych z ust obcych, albo wyczytanych z książki — mówi w dalszym ciągu, dając skuteczne rady, jak należy nabywać prawdziwej mądrości życia przez gromadzenie wiedzy i doświadczenie — lecz staraj się nadto, sam nad wszystkiem, co widzisz, słyszysz, pojmujesz, ciekawie i rozumnie zastanawiać się i myśleć, aby nabyte wiadomości przerabiały się w istotny pożytek i własność twego umysłu: podobnie jako pokarm użyty i przetrawiony przemienia się w posiłek we właściwe części twego ciała“.

Dalej zaleca Zan być skromnym w rozmowach, zdaniach, opiniach, nie stawać się zarozumiałym i nie unosić się, broń Boże, pychą z tego, co się zdobyło w dziedzinie wiedzy i nauki, bo to rzecz niebezpieczna i łatwo prowadząca do zguby. Gdybyś spostrzegł w sobie zarodek tego niebezpieczeństwa: „bież co rychlej do umiarkowanego bardziej od ciebie, użyj jego rady, albo innych sposobów do odkrycia twoich doskonałości“.

Krótko, ale nadzwyzaj jasno i treściwie określa w następujących paragrafach pojęcia cnoty, patryotyzmu, przyjaźni i miłości bliźniego.

„Chcesz być cnotliwym?“ — pyta i zaraz taką daje odpowiedź: „Zapatruj się na sprawy wielkich cnotami ludzi, ażebyś się usposobił czuć szlachetnie. Gdy zaś uczujesz przywiązianie do ziemi ojczystej, skłonność do przyjaźni z towarzyszami swego wieku i powołania, miłość bliźniego i troskliwość o samego siebie, natenczas możesz być przeświadczony, że uczyniłeś pierwszy, ale wielki krok na drodze doskonalenia twego serca“.

„Słodkich owoców przyjaźni z twoimi towarzyszami możesz być

pewnym, jeżeli stłumisz w sobie doszczętu samolubstwo i zazdrość, jeżeli będziesz szanować chwalebne postępki towarzyszów, będziesz szczery i otwarty, będziesz słuchał bez żadnej urazy nagane wad swoich i z pociechą przyjmował rady i przestrogi“.

„Miłości bliźniego pokażesz dowody, jeżeli będziesz umiał litować się nad cierpieniem drugich, bez względu na ród, stan, przekonania, wiek i płeć cierpiącego człowieka“.

„Troskliwość o samego siebie zakładaj na tem, ażebyś wszelkiemi siłami doskonalił umysł i serce tudzież utrzymywał czerstwość i zdrowie, chroniąc się stale gnuśności i rozpusty — zwięźle a treściwie radzi w ustępie XI „Prawideł“:

„Im łagodniejszym coraz będziesz się stawał i prostszym w pożyciu z drugimi, tem większego postępu w moralności będziesz miał dowody. Jeżeli kto naruszy twoją łagodność, bądź spokojny; jeżeli cię dotkliwie obrazi, przebacz mu; jeśli natrętnik dalej się uniesie, ulituj się nad jego nierozsądkiem i proś go, ażeby cię wyzwolił że swej napaści; jeżeli i tym sposobem nie ustanie w złośliwości, przebacz mu jeszcze i proś go jeszcze i nie używaj gwałtownego odporu, chyba w przypadku niebezpieczeństwa“.

Ta chrześcijańska równowaga i pobłażliwość stanowią przez całe życie najwydatniejsze rysy charakteru i usposobienia samego Zana, który nietylko nakreślił „Promienistym“ program taki, ale sam w sobie wcielił go niejako i do zgonu był żywym wzorem wygłaszanej teoryi.

Czy nie warto, abyśmy powyższe „prawidła“ przyjęli za swoje i według nich postępowali?

Pamiętajcie o tem, młodzieńcy, związani w kluby, pamiętajcie o tem naśladowcy Filaretów!

**Najszybszy pociąg i katastrofy.** Pomiędzy Nowym-Jorkiem a St. Louis kursują codziennie od dn. 5-go lutego r. z. w obu kierunkach pociągi, które zarząd kolei pensylwańskiej reklamuje z dumą, jako najszybsze pociągi świata na daleką przestrzeń. Pierwszy z nich, pod nazwą „24-godzinny St. Louis“, opuszcza Nowy-Jork o godz. 6-ej wieczorem i we 23 godziny staje w St. Louis, a drugi, pod nazwą „24-godzinny Nowy-Jork“, przebiega tę samą drogę we 25 godzin. Różnica w czasie zależna jest od wzniesień toru. Zważywszy, że odległość pomiędzy temi miastami wynosi 1054 mile ang., otrzymamy rzeczywiście imponującą szybkość 70 kilometrów na godzinę. Ale z drugiej strony warto się przyjrzeć, ile ofiar w ludziach pociąga za sobą ta „zawrotna szybkość“. Świeżo ogłoszona statystyka za 10-lecie 1898 — 1908 wykazuje nie

mniej, niż 47,416 osób, zabitych skutkiem wypadków kolejowych. A co ważniejsza, że liczba ta zwiększa się z roku na rok razem ze wzrastającą szybkością pociągów. W r. 1898 było takich wypadków 4,046, w roku 1903 — 5,000, a w r. 1907 — 5,612, tak, że średnio 15 osób dziennie przypłaca życiem ten iście amerykański pośpiech. Ciekawą jest rzeczą, że właśnie najwięcej wypadków zdarzyło się na kolei pensylwańskiej, gdyż, jak głosi statystyka, 7,250. Oczywiście część wypadków stoi w związku z tem, że tor kolejowy w Ameryce nie jest odgrodzony niczem od przejazdów i każdy przechodzi przez plant na własne ryzyko. Lecz w Ameryce żywność jest droga, ale za to życie ludzkie bardzo tanie.



# SZARADA.

*Pierwsze* — rzeka na północy.
W oddalonym od nas kraju;
*Drugi*, gdy jest wiosną w kwiecie,
To w nim pięknie, jakby w raju,
Ten sam na wspak jest niezbędny
Dla rodzaju nijakiego,
(Naturalnie w obcej mowie,
Bo narodu niemieckiego).
*Trzecia* zgłoska jest literą,
A zaś *wszystka*, wyrobiona
Z drzewa, kości czy metalu,
Nie dla wszystkich przeznaczona.



## Zadanie arytmetyczne.

Jan rzekł: —Jeżeli, Piotrze, dobierzecie
Część trzecią tego, co Prot ma,
Razem z swym gruntem mieć będziecie
Zaledwie tyle, co mam ja.
Piotr zagadnięty wnet odpowie:
— A wy oddajcie—mówię wam —
Cześć trzecią ziemi swej Protowi,
Prot dopnie tego, co ja mam.
Prot milczał długo, rzecze wreszcie:
— Do trzeciej części swoich ziem
Mórg cztery, Piotrze, wraz dobierzcie,
Mój cały grunt zmieścicie w tem.
Zagadkę teraz wyprowadzę:
Jak wielki był każdego dział?
Mniej dwakroć—miejcie na uwadze—
Ktoś tam od kogoś gruntu miał.

**Rozwiązanie zadania zamieszczonego w tomie lutowym.**

Ponieważ pierwsza z pań tańczyła ze wszystkimi panami, druga— ze wszystkimi bez jednego, trzecia ze wszystkimi bez dwóch i t. d., przeto, postępując w ten sposób dalej dojdziemy, że ostatnia tańczyła ze wszystkiemi z wyjątkiem tylu panów, ile było pań bez jednej, co według zadania wyniosło 8; wnosimy zatem, że liczba panów bez liczby pań, zmniejszonej o jedną, wynosi 8, czyli że panów w tem towarzystwie było o 7 więcej niż pań. Zadanie więc sprowadza się do określenia liczby panów i pań, jeżeli pierwszych było o 7 więcej niż drugich, a wszystkich razem 67. Zauważmy w tym celu, że jeżeli chwilowo usuniemy tych 7 panów, w których liczba ich przewyższa liczbę pań, wówczas dwie te liczby staną się sobie równemi, a ogólna liczba osób wyniesie o 7 mniej a nie 67, t. j. 60. Widzimy stąd, że podwójna liczba pań wynosi 60, tak iż było ich 30; tyle też wyniosła i liczba panów po usunięciu 7, tak iż ogółem było ich 37.



# Humor i Satyra.

---

### PRAWDZIWY SKANDAL.

Na pogrzebie pewnego bogacza rozmawiają dwaj adwokaci; jeden czyni uwagę:

— A toby był prawdziwy skandal, gdybym tak naprzykład z tym nieboszczykiem, któremu mówca obiecuje niebo, spotkał się — na samem dnie piekła...

### POMIESZAŁY MU SIĘ.

Pani majstrowa dała uczniowi dwa czeskie, jeden czeski na ocet, a drugi na oliwę. Za godzinę wraca chłopiec i nic nie przynosi.

— Czemuś nie kupił tego, com kazała? — zapytała zaindyczona od gniewu pani majstrowa.

— A bo mi się to pomieszały czeskie, — odpowiedział chłopiec — i nie wiem teraz, który to jest na ocet, a który na oliwę.

### MAZUR NA KAZANIU.

Na Podlasiu jest gadka o Mazurach, że gdy raz jeden z nich świadom, iż na początku świata Kain, syn Adama, zabił brata swego Abla, będąc w szkole i słysząc, jak nauczyciel, przez pomyłkę prawił: „Zabił Abel Kaina“ — on tedy Mazur na te słowa wyryknie z wielką radością: „A dobrzeć mu, dobrze tak, bo też wprzód zabił ten Kain Abla!“

### W SZKOLE.

Nauczyciel (pyta się ucznia szkolnego, jak to rozumieć słowa Pisma świętego): W pocie oblicza twego pożywać będziesz chleb twój!

Uczeń (po krótkim namyśle): Aby człowiek jadł tak długo, aż się zapoci.

### PLOTKARZ.

A. Któż nie święci niedzieli?
B. Język plotkarza.

### DOBRE SERCE.

Sędzia do najętego zbója, który za dziesięć dolarów zabił człowieka:

— Jak mogłeś za taką nędzną sumę zabić bliźniego?

— Tak to bywa — odrzecze łotr — gdy człek zanadto dobre ma serce.

### UMIE LICZYĆ.

— Ile pan masz lat?

— Trzydzieści pięć.

— A ja czterdzieści.

— No, to za pięć lat będziemy w równym wieku.

### SIELANKA RAUTOWA.

Na raucie młodzian z panną tuż obok usiedli,
Lecz zacząć nie umiejąc, rozmowy nie wiedli.
„Budzę pana“ — rzekła wreszcie panna uroczyście,
Lecz młodzian nic nie odrzekł, gdyż spał rzeczywiście.

### PRZEDCHRZEŚCIJAŃSKIE CZASY.

— Panie Goldfresser! pan jesz serdelki!... W przeszłym jeszcze roku nie jadałeś pan „tego“ wcale...

— Mój panie! Pan potrzebujesz mi nie wytykać moje... przedchrześcijańskie czasy!

### Z MOTYWÓW SIELSKICH.

Stoi sobie, stoi
Magda kiele chaty,
Dobry prosty Wojtek,
Lepszy Grześ garbaty.

Czemu lepszy Grzesiek,
Chociaż garb go szpeci?
A bo gruntu ma aż
Morgi coś półtrzeciej.

### ZDZIWIONY.

Właściciel handlu win, zwiedzając fabrykę w Bordeaux, woła zdumiony:

— Patrzajcie! Nie wiedziałem, że wino można wyrabiać, „nawet“ z winogron.

## JAK PIJAR ODPOWIEDZIAŁ JEZUITOM.

W jednem mieście Ojcowie Jezuici, mając własną drukarnię, co roku na imieniny rezydującego w tymże grodzie biskupa, drukowali przewielebnemu pasterzowi panegiryk łaciński. A bo gdy razu pewnego wyszło coś takiego z onej drukarni, że biskup kazał ją zamknąć i zapieczętować, a było to przed jego imieninami, Ojcowie, oprawiwszy librę papieru w deski i safian, ofiarowali takową z następującym napisem:

„Wierszy żadnych nie dajem: Apollo pod kluczem,
Gdy otworzysz drukarnię, pisać go nauczym”.

Biskup to przeczytawszy, śmiejąc się, podaje upominek księdzu Pijarowi, który przyszedł także winszować imienin, a ten rzecze:

— Illustrissime, racz mi pozwolić, iżbym odpisał ojcom na te wiersze w ten sposób:

„W dwóch wierszach, jednak ukłuł Apollo zamkniony,
Gdy tak czyni w zamknięciu, to cóż otworzony”?

Tak tedy Pijar dowcipem pobił Jezuitów.

## ZROZUMIAŁ.

Przedewszystkiem nie używajcie nigdy alkoholu, bo upijanie się życie wam skróci. Alkohol, to wróg człowieka, najważniejsza trucizna.

— Dobrze, panie doktorze. Alkoholu nawet do ust nie wezmę. Bo i poco? Przecież jest wódka, piwo, to pocóż nam jakiś tam alkohol.

## W STARYM KRAJU.

Uszer, trzymający sad w arendzie, przychodzi do dziedzica ze skargą.

— Panie dżedżycz... te zbóje chłopcy, to oni mi wczoraj całą gruszkę otrzęśli!

Cóż ja ci poradzę? Nie mogłeś ich odpędzić?

— Kiedy ja się sam trząsłem bardziej niż gruszka.

## SPRAWIEDLIWY SĘDZIA.

— Cóż Wojciechu, kontenci jesteście z waszego nowego sędziego gminnego?

— Jeszcze jak! To okrutnie sprawiedliwy sędzia, bo zawdy tak jakoś śtucnie sądzi, że połowa prawujących się wygrywa, a druga połowa przegrywa.



# Odpowiedzi od Redakcyi.

*Czcig. ks. kanon. Jan Tański w Par.* List Wasz. Czcigodny Rodaku, sprawił nam wielką przyjemność. Dziękujemy serdecznie za to uznanie dla naszej pracy i za braterską życzliwość.

Przysłane utwory jakkolwiek posiadają zalety duże, nie możemy ich jednak drukować dla pewnych względów.

*Szan. p. Andr. Nowalińskiemu z Kut.* Dziękujemy za życzenia jak najserdeczniej.

*Szan. p. Ig. W. w Hom.* Chętnie spełnimy życzenie Pańskie. Różańce, szkaplerze, obrazki, książki do nabożeństwa wysyłamy po cenach najprzystępniejszych. Znajdzie Pan także u nas Stacye Męki Pańskiej na płótnie malowane, średniej wielkości.



## NOWE KSIĄŻKI.

Swieżo wyszły z druku **„PAMIĘTNIKI"**, obejmujące okres od roku 1863 do 1908, napisane przez **Ks. Leona Postawkę** Doktora Św. Teologii Prałata Domowego Jego Świętobliwości Piusa X Rektora Misyi Polskiej w Paryżu. Paryż. **Dwa duże tomy.**

Autor tych pamiętników, będąc młodziutkim księdzem w dyecezyi Kieleckiej, zmuszony był opuścić kraj rodzinny i zamieszkał w Paryżu, gdzie jako dobry Polak gorąco zawsze bierze do serca wszystkie, sprawy dotyczące ojczystego kraju i otacza serdeczną opieką braci Polaków na obczyźnie. Z wielką prostotą ale pięknym językiem i nadzwyczaj zajmująco opisane są przez Ks. Postawkę wspomnienia z jego życia w którem los dał mu sposobność kilkakrotnie odegrać pewną rolę tak w Polsce w smutnych i bolesnych przejściach 1863 r. jako też podczas wojny francusko-niemieckiej 1870 r., szczególnie zaś w okresie komuny paryskiej.

Ks. Arcybiskup Lwowski Teodorowicz o Pamiętnikach tych wyraża się w ten sposób: „Jak w bogatym kalejdoskopie, przesuwają się tu historyczne postacie i historyczne chwile, a epoka życia emigracyjnego Polski, życia, o takim bogatym własnym charakterze, tak blisko przez te karty podchodzi ku nam".

Cena księgarska dwóch dużych tomów wynosi 5 rubli. Redakcya jednak „Dzwonka Częstochowskiego", dla swych przyjaciół-prenumeratorów, ustępuje te „Pamiętniki" po wyjątkowo zniżonej cenie, t. j. za **4 ruble.**

Korzyść materyalną ze sprzedaży Szanowny Autor przeznacza na potrzeby Misyi Polskiej.

---

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego” upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi, Królowej Nieba i ziemi, poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty, lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski”.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa pod Jasną Górą.

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

Druk Drukarni Polskiej (L. Straszewicza), Warszawa, Jasna 2.